Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta
1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII Niedziela, dnia 9 lipca 1939 r. Nr. 28



Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

XXX.

YISZIKA WRACA DO ZDROWIA

Cios zadany Yiszice sztyletem okazał się nie tak niebezpieczny, jak to przypuszczano początkowo,. Z ranami od szabel i sztyletów zwykle tak bywa. Jeżeli nie są one śmiertelne natychmiast, później nie zagrażają już życiu zranionemu. Tym mniej niebezpieczna okazała się później rana Yisziki, bo nad jej zdrowiem czuwali najlepsi lekarze, jakich miała Japonia. Ta skośnooka córka mandaryna była dla wywiadu japońskiego perłą tak szacowną, że opłacało się wyłożyć największe koszta, aby ją przy życiu utrzymać.

Długi jednak czas Yiszika pozostawała w stanie zamroczenia i nie była w stanie udzielić czekającym na to oficerom żadnych wyjaśnień na temat zamachu na swoje życie. Nie wiedziano więc naprawdę, ani się też nie domyślano, kto ją zranił. Były tylko przypuszczenia mniej lub więcej pewne, że musiał tego dokonać ktoś z wywiadu Czang-Kai-Czeka, a jeśli aresztowano przy tym dwoje cudzoziemców białych, to raczej z przyzwyczajenia do nieufności w stosunku do wszystkich „białych barbarzyńców", niż z potrzeby.

Nieufność Japończyków do wszystkich białych jest ogromna. I gdyby nie tradycyjna grzeczność ich dla wszystkich, biali w Japonii traktowani byliby prawie na równi z Murzynami w Stanach Zjednoczonych. A już natręctwo wszelkiej policji, zarówno tajnej, jak i mundurowej jest tak wielkie, że człowiek biały nie może w tym kraju postąpić dwóch kroków, aby co najmniej dwa razy nie być zapytanym dokąd jedzie, co zamierza robić tam, gdzie się udaje i jaki w ogóle jest cel jego włóczenia się po Japonii.

Nie dziwne zatem, że tuż po zamachu na Yiszikę, zaaresztowano w pociągu dwoje znajdujących się w nim cudzoziemców. Uczyniono to raczej dla zwyczaju niedowierzania żadnym białym, aniżeli z jakichkolwiek głębszych pobudek.

Kiedy ich zaś wypuszczono na wolność, udając, że władze wierzą zarówno w ich tłumaczenie, jak i w opinię niemieckiego konsula w Pekinie, posłano za nimi człowieka z poleceniem śledzenia ich aż do Tien-Tsinu, gdzie znowu miał się zaopiekować nimi inny człowiek z wywiadu, w myśl powiedzenia, że jeżeli ktoś naprawdę chce, może znaleźć dziurę w całym, chociażby jej tam nie było.

Zamiar ten, jak widzieliśmy, nie udał się w całości i dwa ptaszki wymknęły się szczęśliwie z zastawionej na nie sieci. Człowiek z okrętu zniknął w tajemniczy sposób, a zanim wiadomość o tym przyszła do Szimonoseki, już Yiszika przyszła na tyle do sił, że zażądała niezwłocznego zjawienia się przy jej łóżku kogoś z wojskowych.

Powiadomiony o tym dowódca garnizonu miejscowego, znany nam już pułkownik, przyjechał natychmiast do szpitala w towarzystwie swojego adjutanta. Z separatki, gdzie leżała Yiszika, wyproszono wszystkie osoby postronne.

— Jestem szczęśliwy, że widzę panią wracającą do zdrowia, Yisziko. — przywitał agentkę pułkownik. — Jakże się pani czuje?

— Dziękuję, pułkowniku... — odrzekła bardzo słabym głosem agentka — lepiej mi, ale jestem bardzo osłabiona...

— Proszę więc nie mówić słów zbytecznych... tylko to, co chce pani nam powiedzieć, tylko to, co może stanowić nitkę prawdy.

Yiszika rozumiała to i bez tej uwagi. Nie darmo była najpierwszym asem wywiadu japońskiego, wartym więcej,, niż wynosiła jej waga ciała, aby nie pojmować tego.

— Proszę słuchać, pułkowniku... Ci biali, to agenci francuscy... Poznałam ich mimo przebrania... Kobieta, to Daniela Berthier...

Pułkownik poruszył się na tę wiadomość tak niespokojnie, jak rzadko kiedy tylko objawia swój niepokój człowiek Wschodu.

— Czy to oni panią zranili, Yisziko?

— Nie. Chińczyk... Musiał być z nimi w zmowie... Obcy Chińczyk, nie znam go. Czy ci biali siedzą w areszcie? Nie trzeba ich wypuszczać. To bardzo niebezpieczni agenci. Nasze tajemnice w Kobe, częściowo zdradzone. Major Marusaki popełnił suppuka....

Teraz dopiero pułkownik zdał sobie w pełni sprawę z tego, jaką gaffę popełnił. Mieć w ręku ludzi tak niebezpiecznych i wypuścić ich z rąk! Nie, to już przechodziło granice jego własnego rozumienia. I w dodatku ci ludzie wykradli jakieś tajemnice w Kobe, a major Marusaki popełnił samobójstwo przez rozprucie sobie sztyletem brzucha, co nazywa się po japońsku suppuka, a znane jest powszechnie pod nazwą harakiri.

— Czy to wszystko, Yisziko?

— Wszystko... Tych ludzi trzeba strzec dobrze...

Ba! Gdyby to było w tych warunkach możliwe! Pułkownik pocieszał się, że pewnie wysłany w ślad za dwojgiem białych barbarzyńców człowiek oddał ich w całości w ręce swojego następcy w Tien-Tsinie, a zatem nie wszystko jeszcze stracone, podziękował więc Yiszice za informacje, życzył jej szybkiego powrotu do zdrowia i oddalił się szybko, zdenerwowany i przejęty mocno. Rozumiał, że jeżeli nie naprawi tego błędu — nie pozostanie mu nic innego, jak dokonanie suppuka.

W kilka minut później depesza iskrowa biegła do Tien-Tsinu, zapytując o dwoje cudzoziemców i agenta, który ich nieoficjalnie konwojował. Taka sama depesza alarmowała władze japońskie w Pekinie. Odpowiedź nadeszła w godzinę później i uderzyła jak grom w przerażonego pułkownika: „Dwoje białych cudzoziemców nieznani tu. W Tien-Tsinie morze wyrzuciło na brzeg człowieka zmasakrowanego przez śrubę okrętową, przy którym znaleziono znaczek policji śledczej".

Pułkownik, przeczytawszy tę wiadomość, padł bezwładny na fotel i utkwiwszy oczy w jeden punkt przed sobą, wpatrywał się weń długo, a w trzy godziny później władze wojskowe zaalarmowane zostały wiadomością o dokonaniu przezeń suppuka.

O tym wszystkim nic naturalnie nie wiedzieli ani Corbin, ani Daniela. Jechali spokojnie do Pekinu, pełni nadziei, że skoro udało im się uniknąć ciekawych oczu agenta na dworcu morskim w Tien-Tsinie, to może odnajdą szczęśliwie kapitana Fawceta w jego tajemniczym ukryciu w Pekinie, a to już wiele znaczy.

— Pan wiesz, gdzie mieści się schronisko kapitana? — spytała Daniela Corbina, gdy od Pekinu dzieliła ich jeszcze godzina jazdy.

— W mieście zakazanym dla obcych.

— Cóż to znowu za „zakazane miasto"?

— Są to dawne pałace cesarskie. To jest



Lady Grosvenor Collins we wspaniałej sukni spacerowej w chwili przybycia na wyścigi konne w Ascot pod Londynem.

Na okładce zdjęcie Floriana Staszewskiego. *Wenecja północy — Sztokholm.*

właśnie miejscem „zakazanym dla obcych", a wielkość jego porównać można chyba z siedzibą Poczdamu, przy czym murem są tam okolone trzy olbrzymie jeziora razem z wyspą, zaś tzw. „miasto cesarskie", zarezerwowano dla rządu i „wyższych" niepoślednej wielkości. Lecz wszystko to jest całkowicie puste dzisiaj. Pustka ta przewyższa bodaj pustkę w wielkich hotelach pekińskich. W Pekinie czy też Peipingu, jak pani woli, duży dom o czterech skrzydłach „w mieście cesarskim" tj. leżącym tuż przed bramami pałacu „syna nieba", dom z pomieszczeniami dla służby, wyposażony we wszystko, co drogie i ładne, może pani wynająć za 40 dolarów amerykańskich miesięcznie! A właściciele chętnie podpisują kontrakt trzyletni.

— Więc miasto to, owa do niedawna „perła Chin północnych" tak bardzo upadło?

— Tak, a wszystkiemu winno przeniesienie siedziby rządu z Pekinu do Nankinu na południu. Pekin, miasto przeznaczone w swym założeniu do rozwoju, dzisiaj sprawia wrażenie smutne — zobaczy to pani sama — gdyż zamiast rozbudowania się i umocnienia, chudnie i marnieje. A przy tym nazywa się „Peiping". Tak, tak, suknie na nim wiszą!... Mało pieniędzy i mało mieszkańców. Dzisiaj jest ich tu przeszło milion, ale w starym Pekinie było ich o 300 tysięcy więcej, a miejsca znalazłoby się dla trzech milionów.

Prawdę tych słów Corbina Daniela sprawdziła niebawem, kiedy przybyli do Pekinu. Po drodze na dworzec i z dworca do miasta nie spotkało ich nic złego, ani przeciwnego. Mimo to mieli się bardzo na ostrożności i starali osobami swymi mniej uwagi zwracać zarówno nielicznych przechodniów chińskich, rozmyślających w zadumie nad przeszłością i przyszłością świetnej niegdyś stolicy, jak i dość licznie spotykanych po drodze wojskowych japońskich.

Rzeczy swoje zostawili w przechowalni na dworcu, aby mieć wolniejsze ręce na wypadek, gdyby trzeba ich było użyć w jakiej bądź walce. Przewodnikiem był Corbin, jako dobrze znający Pekin. Był tu już nieraz. Tutaj bowiem doskonale ukryta znajdowała się centrala białego wywiadu na Chiny północne i Japonię.

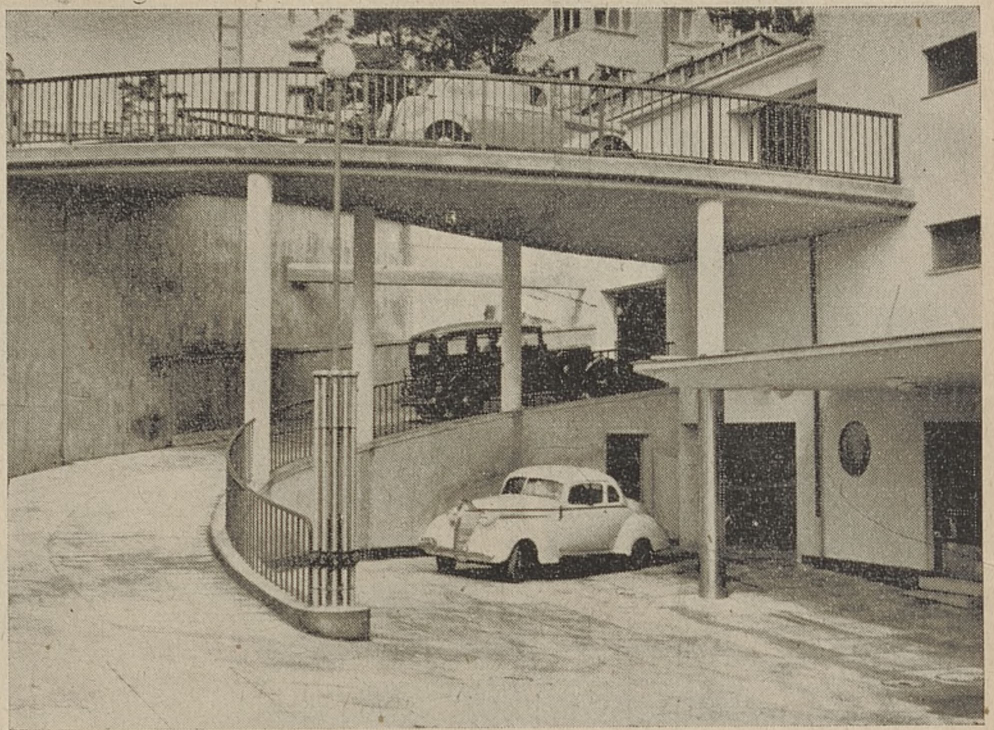
— Do „miasta cesarskiego" dostaniemy się bez trudu — wyjaśniał agent po drodze.

— Nikt go nie pilnuje i nikt nie zabroni nam tam wejść, jeżeli tak nam się spodoba. Japończykom wystarcza w zupełności to, że księcia Pu-Yi osadzili na tronie mandżurskim i ten wykonywuje wszystko, czego od niego zażądają. Jest to zresztą marionetka w rękach przebiegłych Nipponczyków. A tamtemu znowu wystarcza całkowicie do życia, że ma do syta jedzenia i tyle nałożnic, ile mu się podoba. Pod tym jedynie względem ma całkowitą swobodę.

— Jednak od czasu do czasu daje się słyszeć, że cesarz czy też król ik ten buntuje się podobno? — zauważyła Daniela.

— I, gdzie tam! Jest to stworzenie tak bezradne i apatyczne, że posądzanie go o coś podobnego jest zupełnie nie na miejscu.

Minęli miasto właściwe i wspinali się teraz pod górę w stronę „miasta cesarskiego". Widniało ono przed nimi jako ogromny kompleks budynków i murów. Te mury chińskie prześladowały wzrok ich na każdym miejscu.



Fragment nowoczesnego garażu na 325 samochodów, wybudowanego ostatnio w Sztokholmie.

— Jakiż to kolos! — zawołała Daniela w pewnej chwili, gdy stanęli na wyniosłości i wzrok jej pobiegł w stronę niedalekiego miasta cesarskiego. — Przecież to zupełnie odrębne i wielkie miasto.

— Nie myli się pani. Mandżurowie, którzy je zbudowali, nie mieli nigdy dość przestrzeni. Lubili rozmach, wielkość terenów, na których mogli się swobodnie rozprzestrzeniać i rozbudowywać. Dlatego wszystko tu jest olbrzymie, rozległe, pełne przestrzeni. I to nawet jest dobre, o ileż lepsze, niż te wszystkie miasta europejskie starego typu, w których ludzie gniotą się jeden na drugim, a poprzez wąskie uliczki można sobie nieraz podać ręce z sąsiadem. Tutaj, w cesarskim mieście Pekinie, nic podobnego znaleźć nie można. Tu mamy zawsze do czynienia z przestrzenią.

Zeszli ze wzniesienia i poszli kamienistą drogą, pełną dziur i wybojów, ale tak szeroką, że dziewięć wozów swobodnie mogło na jej szerokości stanąć.

— Czas nie próżnuje na tej drodze — powiedziała Daniela, wpadając w pewnej chwili w dziurę, w której omal nie skręciła nogi w kostce.

— Tak, on daje radę wszystkim tym budowlom i urządzeniom. Ale niech pani dobrze uważa, bo o skręcenie, albo nawet złamanie nogi jest tu bardzo łatwo. Po tych kamienistych wybojach trzeba umieć chodzić.

— Daleko to jeszcze?

— Kwadrans drogi.

— Czy zajdziemy tak wprost, głównym wejściem?

— Nie. Ale zobaczy pani.

Wkroczyli w zabudowania i kamienne ściany, wśród których nic nie zdradzało obecności człowieka. W pewnym miejscu Corbin przystanął przy wielkim głazem i ostrożnie obejrzał się dokoła.

— Nie widać gdzie jakiego człowieka? — powiedział do towarzyszki. — Niech się pani przyjrzy wszystkiemu uważnie. Nie trzeba, aby ktokolwiek niepowołany znał tajemnicę naszego lokalu.

Daniela rozejrzała się z kolei również po bliższej i dalszej okolicy, ale nie spostrzegła nigdzie żadnego żywego ducha.

— Mam wrażenie, że ludzie tutaj w ogóle nie zachodzą — rzekła. — Jest tu tak pusto, jak w Gobi.

— To tylko złudzenie. Już nieraz mieliśmy na tym miejscu wizyty agentów japońskich, którzy od czasu do czasu zaglądają tutaj, aby zobaczyć, czy nie zmieniło się tu cokolwiek.

Corbin pochylił się nad ziemią i kamieniem trzymanym w ręku zaczął wystukiwać jakieś tajemnicze znaki. Powtarzał je tak długo, że Daniela, która to w milczeniu obserwowała, po chwili uchwyciła ich periodyczność i nawet odczytała z nich całe słowo. Znaki te brzmiały:

— — — . . — . — — . — . . . — . .

Ouvrir — otworzyć. Skończywszy tę sygnalizację, Corbin przyłożył ucho do ziemi i zaczął nasłuchiwać. Jakoż po chwili rozległo się pukanie jakiegoś tajemniczego człowieka spod ziemi, zapytujące: Qui êtes vous? Corbin natychmiast odstukał: Bourgh Madame. I oto, ku niezmiernemu zdziwieniu Danieli, olbrzymi głaz, który, jak się zdawało, od wieków trwał tutaj, wrosły w ziemię, podniósł się nagle wysoko, ukazując pod sobą czarną otchłań wejście.

— Szybko, szybko proszę wchodzić do tego otworu — zawołał Corbin — mamy tylko dwie minuty czasu i kamień znowu opadnie na ziemię, znowu więc musielibyśmy wywoływać.

Daniela w jednej chwili zsunęła się do otworu, a tuż za nią Corbin. Niebawem nakrył ich kamień i wszystko tam na powierzchni pozostało po dawnemu. I gdyby nawet w trzy minuty później zjawił się był cały oddział wojska japońskiego, nie byłby w stanie niczego odkryć. Dwoje ludzi, którzy tu jeszcze kilka chwil przedtem stało, zapadło się dosłownie pod ziemię.

Dwoje Francuzów znalazło się w absolutnej ciemni, jakby w jakiejś piwnicy, albo studni, skąd nie było w żadną stronę



Członkini paryskiego oddziału obrony przeciwlotniczej z przyrządem do wykrywania gazów w powietrzu.

żadnego wyjścia. Daniela jednak zorientowała się szybko, że tak nie jest, gdyż pęd świeżego powietrza, jaki tu dochodził, świadczył, że z tego loszku prowadzi jednak dokądś jakieś wyjście.

— Czy pani widzi cokolwiek? — zapytał Corbin.

— Absolutnie nic.

— Proszę się więc trzymać mnie i postępować ostrożnie, będziemy schodzili po schodach na dół. Niech pani liczy, schodów jest siedem tylko.

Panna Berthier uchwyciła się poły płaszcza towarzysza i zaczęła posuwać się za nim ostrożnie krok za krokiem, licząc przy tym schody.

— Nie ma tutaj żadnego światła. Dopiero gdy miniemy bramę lwów, znajdziemy się w zupełnie innym świecie — poinformował ją agent po drodze.

Ruszyli teraz równym podziemnym korytarzem i szli jeszcze kilka minut, gdy Corbin znowu się zatrzymał i objaśnił:

— Jesteśmy przy bramie lwów. Zaraz nam otworzą.

Po tych słowach znowu zaczął wystukiwać alfabet Morse'a. Uderzenia jakiegoś twardego narzędzia, którym Corbin uderzał w bramę, dźwięczały metalicznie i ostro. Niebawem tuż nad głową Danieli rozległ się ostry głos męski, pytający:

— Qui êtes vous?

— Bourgh - Madame — odpowiedział głośno Corbin.

Żelazna zapora przed ich oczami rozsunęła się następnie ze zgrzytem i znaleźli się przed obszernym przedsionkiem, oświetlonym jedną wielką świecą. Lecz i teraz jeszcze nie pokazał się żaden człowiek. Weszli więc do przedsionka i tutaj usiedli na szerokiej ławie kamiennej.

— Mam takie wrażenie, że znajduję się w jakimś miejscu zaczarowanym, gdzie zamiast ludzi, mamy do czynienia z duchami — powiedziała Daniela.

— Tak to mniej więcej wygląda, gdy się nie jest w rzecz samą wtajemniczonym — odrzekł Corbin. — Ale w gruncie, to w tym wszystkim nie ma nic tajemniczego ani nieziemskiego. Wszystko to bowiem jest dziełem rąk ludzkich. Ten dom, który pani pokazywałem, gdyśmy do „zabronionego miasta" dochodzili, a który wynająć można za 40 dolarów na miesiąc ze wszystkim, co w nim się znajduje — stanowi naszą własność. Wynajął go przed rokiem jeden z naszych ludzi, który przybył tutaj rzekomo w celu badania wierzeń chińskich i religii buddyjskiej. Chińczycy i Japończycy uważają go do dzisiaj za nieszkodliwego maniaka, który ubiera się po chińsku, udaje Azjatę we wszystkim i grzebie się tylko w pergaminach miasta cesarskiego. A tymczasem jest to najlepszy znawca Chin i w ogóle Dalekiego Wschodu i najwytrawniejszy wywiadowca. Japończycy tolerują go i nie przeszkadzają mu w pracy, toteż posyłany on zazwyczaj bywa tam, gdzie nikt inny dotrzeć nie potrafi. Poza tym założył on niedaleko swego domu coś w rodzaju schroniska dla biednych Azjatów i opiekuje się nimi. Zbiera więc ofiary, wydaje obiady i ubrania, zastępuje często Chińczyków najczęściej kompletnych analfabetów, wobec władz, słowem, maskuje się tak, jak nikt lepiej tego nie potrafi. On to, zainstalowawszy się w swym domu, odkrył najzupełniej przypadkowo podziemne przejścia i zakamarki i urządził je tak, że dzisiaj mieszka się w nich wprost komfortowo.

— Opowiada mi pan wprost zadziwiające rzeczy. Czemuż jednak kierownikiem tej placówki jest angielski kapitan Fawcet?

— To już stanowi tajemnicę porozumienia naszych władz naczelnych tutaj. Myślę jednak, że dzieje się to dlatego, bo działamy obecnie wspólnie z Anglikami na Dalekim Wschodzie, a Fawcet, to as, jakiego nie spotyka się nawet od święta. Jest on rodzonym bratem pułkownika Fawceta, którego urzekła brazylijska puszcza i pochłonęła.

— Czy tego, co wyjechał na badanie puszczy i zaginął?

— Tego samego. Od czasu zaginięcia brata, nasz Fawcet jest trochę zbzikowany na niektórych punktach, ale za to pracownik, jakich mało.

Gdy Corbin domawiał tych słów, otworzyły się w jednej ze ścian niewielkie drzwiczki i w nich ukazał się młody, bo może 35-letni człowiek, wysoki blondyn, typowy Anglik o ujmującej powierzchowności i bardzo sympatycznym wyrazie twarzy. W pierwszej chwili można by go było wziąć za aktora filmowego, który przed chwilą odegrał swoją scenę w filmie chińskim i wychodzi z atalier, aby odpocząć.

— Oto i on — powiedział na jego widok Corbin i zbliżył się do Fawceta.

— Ach, to pan — powiedział kapitan. — Skąd pan wraca?

— Z Kobe.

— Z Kobe? Jakim sposobem ten powrót następuje dopiero dzisiaj? Miałem depeszę o waszym aresztowaniu i czekam na przybycie nowej siły, panny Mercier, która ma się udać do Szimonoseki, gdzie was zatrzymano.

— Z czystym sumieniem może ją pan zawrócić z drogi — odrzekł na to Corbin. — Szczęśliwemu przypadkowi tylko zawdzięczamy oboje z panną Bertier uwolnienie nas spod aresztu.

— Więc to jest panna Berthier? — zwrócił się Fawcet do Danieli. — Bardzo mi miło panią poznać, wiele o niej słyszałem.

Podali sobie ręce.

— I ja również słyszałam wiele dobrego o panu, kapitanie — uśmiechnęła się Daniela. — A w tym większy podziw wprawia pan mnie obecnie ,gdy widzę, jaką tu zbrojownię pan założył. Trzeba doprawdy całkowitego wtajemniczenia, aby się do pana dostać.

— Myli się pani, gdyż nawet i tutaj szukają nas kochani Japończycy. Myszkują wszędzie i gdybyśmy nie byli tak ostrożni, jak jesteśmy, na pewno nakryliby nas. Na szczęście żaden z Chińczyków, nawet nasi współpracownicy nie mają zielonego pojęcia o tym, że coś podobnego tutaj istnieje. Tych przyjmuję u siebie „pomylony" Sound, jałmużnik chińsko-japoński. No, ale chodźmy dalej. Pewnie jesteście zmęczeni i pragnęlibyście wypocząć?

— Wypocząć, jak wypocząć, panie kapitanie, ale wykąpać się i wymyć należycie, to należałoby .

— Dostanie pani i kąpiel, nawet i te rzeczy u nas się znajdują.

Kapitan poprowadził swoich gości licznymi zakamarkami o tajemniczym przeznaczeniu, wiodąc ich z góry na dół i odwrotnie, aż w końcu zatrzymał się przed jednymi z palisandrowych drzwi, pchnął je do wewnątrz i skłonił się przed Danielą.

— Tu pani zamieszka w ciągu tego czasu, jaki będzie potrzebny. Zaraz wydam odpowiednie zarządzenie, aby przygotowano dla pani wszystko, czego sobie będzie życzyć.

Daniela podziękowała uśmiechem i przestąpiła próg. Była to izba wygodna i obszerna, która miała, oprócz tych, którymi tu weszła, jeszcze dwoje innych drzwi. Panna Berthier zajęła się natychmiast urządzeniem się, gdy naraz spostrzegła, że przecie nie posiada swojej walizeczki, w której znajdowała się jej garderoba i bielizna. Stanęła bezradna na środku izby, nie wiedząc, do czego się zabrać, gdy jedne z drzwi cichuteńko się otworzyły i na progu stanęła Chinka, najoryginalniejsza Chinka. Zdziwiło to trochę agent-

kę, zwłaszcza po słowach kapitana, że do tych podziemi nie wchodzi nikt z żółtych, ale następnie wzruszyła tylko ramionami i zwróciła się do przybyłej.

— Chciałabym się umyć — powiedziała — i przebrać w coś innego, ale chwilowo nie posiadam własnych rzeczy.

— Ach, to nic, madame — odrzekła najpoprawniejszą francuszczyzną ama — pokojowa — potrzebne rzeczy znajdzie pani w komodzie. Jest ich tam wiele ,do wyboru.

— Czy pani jesteś Chinką? — zapytała jeszcze Daniela.

— Nie, pani, Anamitką, pochodzę z Sajgonu. Mój mąż służy tam w wojsku francuskim.

— Ach, tak..

— Kąpiel będzie niebawem gotowa. Jeżeli pani życzy sobie wykąpać się, prosze pójść za mną, a wskażę łazienkę.

Daniela była mocno zdziwiona tym wszystkim, ale w końcu uznała, że zdziwienie nie na wiele się tu zda, więc nie odrzekła już nic, tylko szła za amą do kąpieli.

Tymczasem Fawcet zabrał Corbina i poprowadził go za sobą do jakichś odległych miejsc i zakamarków. Po kilkunastu minutach znaleźli się nareszcie w jakiejś świątyni, gdzie wszystko zdawało się pozostawać jeszcze w takim samym stanie, w jakim zostawił ją ostatni cesarz, uciekając przed rewolucjonistami, Sun-yat-sena.

— To jest świątynia ducha ziemi — poinformował kapitan — wszystko tu zostało w nienaruszonym stanie od czasu opuszczenia swego miasta przez ostatniego cesarza. Widzi pan tego olbrzymiego Buddę, siedzącego na marmurowym lotosie? — wskazał Fawcet ogromną postać bożka wiecznie uśmiechniętego .— Jest to bardzo ciekawa rzeźba. Wystarczy wejść za jego plecy, nacisnąć sprężynkę, a otworzą się całe jego plecy i ukażą bardzo ciekawe urządzenia. Cztech ludzi zupełnie swobodnie znajdzie w nim pomieszczenie.

— Czyżby? Nie wygląda na tak pojemnego.

— A no, chodźmy, a przekona się pan zaraz.

Kapitan poprowadził agenta krętymi schodami na górę i niebawem znaleźli się na brzegu olbrzymiego kwiatu lotosu, na którym siedział odlany z brązu Budda. Sam posąg odgrodzony był wielkim murem od reszty sali i zapewne niegdyś uchodził za wielką świętość wśród buddystów, dokąd nikt nie śmiał wchodzić. Tradycja ta utrzymała się po dziś dzień i nie było takiego Chińczyka ani nawet Japończyka, który by się odważył przekroczyć święte miejsce.

— Ta nietykalność owego Buddy — powiedział Fawcet, gdy znaleźli się już na miejscu — chroni nas najlepiej od wszelkich niespodzianek. Tutaj nikt nie przyjdzie. Zdarza się nieraz, że do „cesarskiego miasta" zachodzą turyści, oprowadzani przez urzędowych przewodników japońskich, innym razem zaglądają tu policjanci, żołnierze i agenci wywiadu japońskiego. Oglądają wszystko, wszędzie wtrącają swoje trzy grosze, ale nie zdarzyło się jeszcze nigdy ,aby przekroczyli mur i podeszli do samego Buddy. Podczas gdy my, ludzie biali, nie bywamy przeważnie nigdy tacy powściągliwi i nie umiemy, jak się zdaje, uszanować w podobny sposób tych miejsc. Dlatego korzystamy z bezpieczeństwa i wygody, dowodem czego jest właśnie ta instalacja nasza tutaj.

Kapitan naciągnął sprężynkę, o której wspomniał na początku tej rozmowy i ogromne plecy Buddy odsunęły się prawie bezszelestnie, a w jego wnętrzu ukazała się kompletna iskrowa stacja nadawcza i odbiorcza. Nadto znajdowała się tu prycza zasłana baranimi skórami, maleńki stolik i dwa miniaturowe krzesełka.

— Wejdźmy do środka, aby nadać depeszę do Szanghaju — zaproponował Fawcet.

Plecy Buddy zamknęły się niezwłocznie za nimi tak samo cicho i bezszelestnie, jak się były otwarły. Kapitan uruchomił natychmiast stację i zaczął wywoływać stację szanghajską. .Trwało to dość długo, nim wreszcie na drugim końcu fal elektrycznych odezwał się wywoływany. Kapitan podał hasło i umówione znaki i zaczął nadawać szyfr, tłumacząc równocześnie Corbinowi:

— Mr. Corbin i M. Barthier odnaleźli się. Znajdują się w Pekinie. Bezpieczni. Czekam na m-lle Mercier. Jakie są rozkazy? Czekam... czekam... czekam... — wystukiwał aparat umówione słowo szyfru.

Jakoż w kilka minut po nadaniu tego ostatniego słowa wezwania, rozległ się sygnał przy drugim aparacie odbiorczym i Fawcet przesunął się do niego. Po chwili urwał napisaną wstążkę papieru, przesiadł się do stolika i zaczął odczytywać w głos:

— „M-lle Lou przybędzie dzisiaj o 6—20 wieczorem do Pekinu. Czekać na dworcu. Dowiedzieć się natychmiast: jakie zamiary posiada Japonia co do Hainanu? Szukać wiadomości w sztabie w Pekinie. Agent japoński Kabukiza wiezie ważne instrukcje. Przybywa do Pekinu tym samym pociągiem co Lou. Usunąć go — instrukcje przejąć. Dalsze rozkazy 9,40 — czekać".

— Do diabła! — wyrwało się Fawcetowi po przeczytaniu tej depeszy. — Toż ja tego Kubakiza miałem już zaszczyt spotkać niegdyś w dość przykrych dla niego okolicznościach, mianowicie — w grubej opresji. Znam go.

— Kogo pan myśli na żer? — spytał wprost brutalnie Corbin.

— Kogo?

Oczy Fawceta przymrużyły się mocno. Zdawał się namyślać. Po czym rzucił szyfr na stolik i powiedział:

— Roboty jest pełne ręce. Myślę, że my obaj weźmiemy się do Kabukizy, a „jałmużnik" Sound z m-lle Berthier zajmą się zdobyciem wiadomości co do zamiarów japońskich odnośnie Hainanu.

— Bien.

— Zgadza się pan?

— Tak.

— To dobrze. Do nadejścia pociągu mamy jeszcze dwie godziny. Czas ten musimy zużyć na przeobrażenie naszych postaci? Czy pan umie się dobrze charakteryzować?

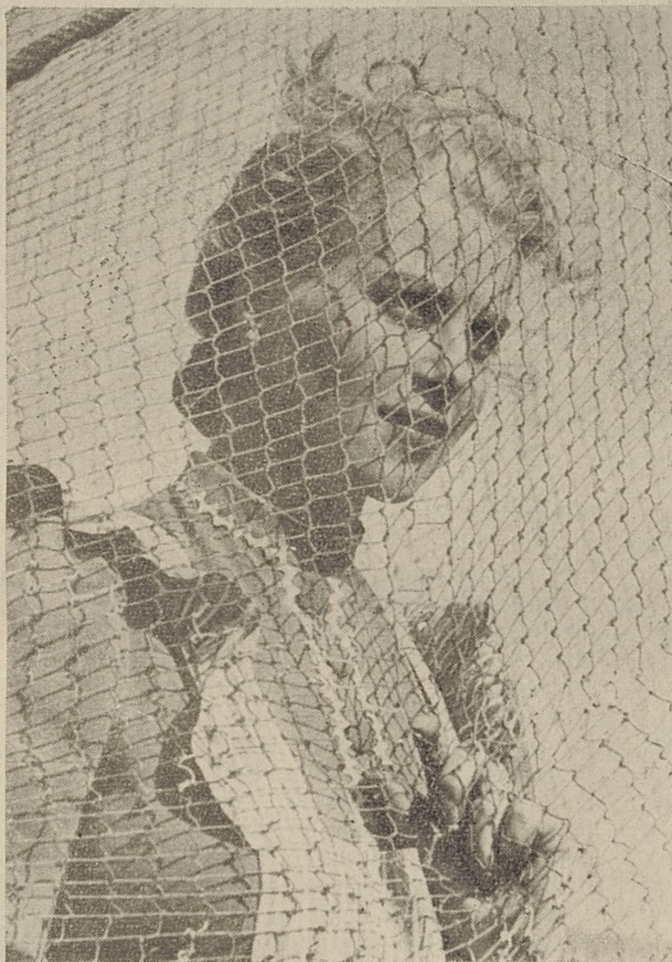
— Kończyłem specjalny kurs charakteryzacji teatralnej japońskiej i europejskiej, więc myślę..

— O key!

XXXI.
ROZŚPIEWANA FUSU-KO

— Goddam! Czy ty musisz wiecznie rozdzierać moje uszy swoimi lirycznymi zawodzeniami, Fusu-Ko?! — zawołał ze swego mikroskopijnego pokoiku Thompson, mówiąc do swojej mogi, śpiewającej gdzieś w przyległej izbie, odgrodzonej papierową ścianą.

Ale Fusu-Ko zdawała się nie zwracać najmniejszej na to uwagi. Fred zerwał się więc ze swego krzesełka, na którym sie-



Na złotej siatce

Na złotej siatce słonecznych promieni
Rozpięła wróżka swoją pracę żmudną,
Mieszając barwy przeróżnych odcieni,
Które składały się na całość cudną.

Błękitną smugą opasała bory;
Stare od wieków, dumne świerków rody.
Rozsnuła w łąkach kwiatów barwne wzory
I seledynem pociągnęła wody.

Jak wąziutkie wstążeczki, zielone soczyście,
Uśmiechały się w słońcu czubki młodej trawy
I rozwijały się z pąków jedwabiste liście.
Fontanną lśniących kropel srebrzyły się stawy.

Artystką była wielką ta wróżka radosna,
Pracę swą zaczynając od wczesnego świtu
I coraz nowe cuda wplatała w swe krosna,
Nakrywając zasłoną z czystego błękitu.

Aż przyszedł jeden z wielu, co w cuda nie wierzył,
Śmiałą ręką uchylił niebieskiej zasłony —
Szyderczym okiem dzieło wielkie zmierzył
I.. odszedł cichy.. wierzący.. skupiony.

Zofia Borucka.



Młodzież szkolna przechodzi ulicami Warszawy z okazji zakończenia roku szkolnego.

dział, zajęty przeglądaniem gazety japońskiej ,opisującej tylko same sukcesy wojsk mikada, rzucił gazetę na ziemię i postąpił krok ku ścianie, gdzie śpiewała Fusu-Ko. Ta jednak, uprzedzając go, rozsunęła ścianę i stanęła przed nim.

— Atanasan znowu się na mnie gniewa? — powiedziała z niewinną minką, jakby się zupełnie nic złego nie stało.

— Do czarta, przecież mi ty odbierasz wszelki spokój! — wybuchnął Fred. — Wiecznie śpiewasz.

— Aatanasan nie lubi śpiewu?

— Owszem, lubię śpiew, ale nie dzikie zawodzenie w twoim tonie. Któż cię tego darcia się nauczył?

— W szkole atanasan. Wtedy mówiono, że ja bardzo ładnie śpiewam.

Thompson parsknął śmiechem.

— Słuchaj, Fusu-Ko, setki razy już ci powiedziałem, że nie wolno ci się wydzierać, gdy ja jestem w domu zajęty czymkolwiek. Jeżeli masz ochotę na swoje trele, idź do ogrodu i drzej się tam, ile ci się podoba ,rozumiesz?

— Atanasan nie lubi śpiewu? — powtórzyła znowu dziewczyna tym samym tonem.

— Chryste! — załamał ręce Fred. — Owszem, lubię, strasznie lubię, zachwycam się tym śpiewem tak, że mnie diabli po prostu biorą. I wolałbym, aby mnie ze skóry obłupywano, niż słyszeć twój śpiew, rozumiesz?

— Rozumiem, atanasan.

W oczach dziewczyny zabłysły łzy i stoczyły się po czarnych jak heban rzęsach na malowane policzki.

— Czego znowu beczysz? — krzyknął na dziewczynę. Ale równocześnie zrobiło mu się głupio, że wywołał zachowaniem się te łzy, więc dodał łagodniej już nieco:

— Przestańże, nic się znowu takiego nie stało. Do czarta! Śpiewaj sobie wreszcie, ile ci się żywnie podoba. Nie mam sił już powtarzać ci stale dziesięć razy na dzień, że mi się to nie podoba. Ty i tak tego nie zrozumiesz, więc słowa moje sią tylko jak groch rzucany na ścianę — nie przykleją się do twego mózgu.

— O, atanasan, pan zawsze taki dobry dla mnie.

— Dobry, dobry... ale ty jesteś dla mnie niedobra, Fusu-Ko. Widzisz, że śpiew twój przeszkadza mi, a jednak nie możesz odzwyczaić się od niego, nie chcesz go zaprzestać, gdy cię o to proszę.

— Postaram się być dobra, lepsza, atanasan.

— Najwyższy już byłby po temu czas, amo. Lubię cię, gdy milczysz i nie wyśpiewujesz swoich liryk.

— Dobrze, atanasan.

— No, nie płacz już, lepiej usiądź i opowiedz mi jakąś bajkę starojapońską. Wolę to, niż twoje śpiewy.

Fusu-Ko usiadła na macie z podwiniętymi pod siebie nogami, zapatrzona w Thompsona, ale nic nie mówiła. I Fred zrozumiał, że gdy Fusu-Ko siada w ten sposób milcząca, nic jej już nie potrafi zmusić do mówienia bajek. Zresztą, bajki te słyszał już co najmniej dziesięć razy i teraz nie zajmowały go one wcale. Były naiwne i mało poetyczne — jak się o nich wyrażał. Po prostu były nudne. I gdyby nie opowiadała ich była Fusu-Ko, na pewno nie byłby ich słuchał wcale. Ale że to robiła właśnie Fusu-Ko,. Od czasu zamknięcia Fryderyka w tym osamotnionym i obmurowanym domu, minęło już wiele czasu. Nic się jednak w jego życiu nie zmieniło, oprócz tego jednego chyba, że jego zdenerwowanie rosło z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień. Chwilami taka rozpacz go ogarniała, że byłby palce gryzł z bezsilnej złości. A w tej samotności tęsknota jego za Danielą nie tylko nie malała, ale przeciwnie wzrastała i wypełniała wszystkie jego myśli nie tylko w ciągu dnia, ale i w ciągu nocy. Lecz zazwyczaj wołał zawsze noc od dni. Wtedy bowiem przynajmniej miewał sny, które przenosiły go daleko do swoich, gdzie wszystko było takie inne, takie kochane i swoje... Lecz miewał czasem i takie dnie i noce, kiedy zapomniał o tym, że istnieje inny świat, inni ludzie i w ramionach Fusu-Ko topił czarne myśli. A Fusu-Ko była rozkoszna, oddawała się miłości nie z tą drażniącą biernością przywykłych do tego wszystkich innych kobiet japońskich, ale całą duszą i wszystkimi nerwami.

— Nie wiedziałem — powiedział jej raz — że mogi bywają tak miłe, na pewno o wiele milsze od gejsz z samej Yoshiwary.

— Jestem szczęśliwa, atanasan, że czujesz się przy mnie dobrze — odpowiedziała — że znajdujesz to, co dać by ci mogły kobiety białe.

I to właśnie było najbardziej niewłaściwe słowo w ustach Fusu-Ko, gdyż wywołało właśnie wspomnienie tej jasnej i białej kobiety, która zabrała mu cały spokój i naraziła go na tyle — tyle nieprzyjemności, ale której nie był w stanie zapomnieć. Kobietą tą była Daniela. Gdy o niej myślał; to wyobrażał ją sobie jak wspaniałego motyla, który potrafi zaczarować przyrodnika i zaprowadzić nawet do przepaści.

Ale Fusu-Ko okazywała się jednak tak dobra, tak zawsze niezastąpiona i tak umiała działać na uspokojenie nerwów Thompsona (oczywiście, gdy nie śpiewała), że ten przebaczał jej wiele i lubił z nią prowadzić rozmowy na najrozmaitsze tematy. Okazało się wtedy, że Fusu-Ko nie była bynajmniej ani tak ograniczona, ani tak naiwna, jak pierwotnie przypuszczał. Okazało się zaś nieco później, że jest ona mocno do niego przywiązana i lubi sprawiać mu przyjemność przynoszeniem nowin z miasta. Zawsze miała mu coś do powiedzenia, gdy wracała z Pekinu. Często były to drobne wiadomości, ploteczki gdzieś słyszane, ale że przekonała się, iż Fred słucha ich zawsze chciwie, przynosiła je zawsze i godzinami nieraz opowiadała. Pewnego więc dnia, powróciwszy z Pekinu, powiedziała do niego z uśmiechem:

— Atanasan, widziałam dzisiaj białą kobietę i białego mężczyznę. Szli do miasta cesarskiego. Jest to niedaleko od nas. Poszłam za nimi i wiesz, co się w końcu z nimi stało?

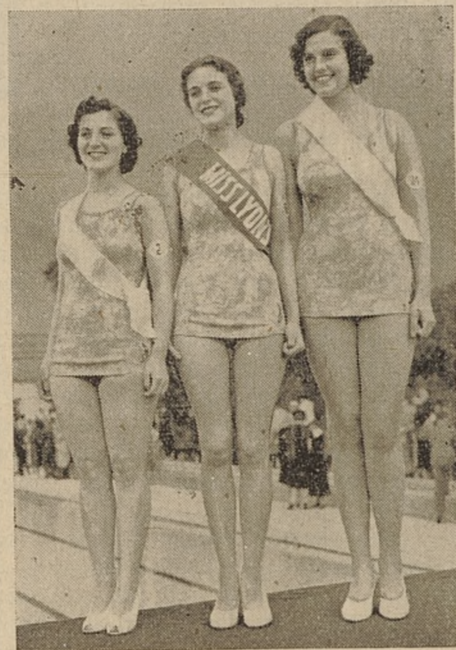
— Skądże o tym mogę wiedzieć, nie byłem przecie w mieście.

— Zapadli się pod ziemię.

— Pleciesz duby smalone, Fusu-Ko.

— Ależ tak, atanasan, na pewno. Szłam za tymi białymi aż do wielkiego kamienia mandarynów przed bramą cesarskiego miasta i tutaj zapadli się oni pod ziemię.

Ciąg dalszy w nast. numerze.



W Sudbury w Anglii odbył się wybór tegorocznej „Miss Lyons". Lyons jest jednym z najpopularniejszych klubów w Anglii. „Miss Lyons" została p. D. Cooper.

Przeklęty spadek

POWIEŚĆ SENSACYJNA

— Przyznaję, że nie przypatrzyłem mu się...

— Szkoda, bo był to typek, który przeraziłby samego Lombrosa. Jest to jeden z ośmiu braci Żareckich, false Burke'ów, najnieuchwytniejszych i najgroźniejszych obecnie w Anglii przestępców. Drugi z rzędu był w swoim czasie filarem osławionej bandy zbrodniarzy „Red-boys", którą tropiłem przez szereg lat. Skończył na szubienicy, ale pozostali nie ustępują mu bynajmniej. Zostało — na szczęście — jeszcze tylko dwóch, najstarszy i najmłodszy, ale i ci wystarczą, ażeby dostatecznie zalać nam sadła za skórę.

— Jeżeli jest ich dwóch, to spadku nie dostaną. A zresztą w jakimże stopniu spokrewnieni są z nieboszczykiem?...

— Ano, jedyna ich siostra została zniewolona przez Stanford'a... Wiem na pewno, że ubiegają się o spadek i że — jeżeli tylko zdołają — zabiją was „dla pewności" chociaż oficjalnie zrzeklibyście się wszelkich pretensyj...

— Ależ to okropne!... — zawołała z rozpaczą Ellen. — Co czynić za tym? Mr. Thompson, proszę radzić...

— Miss O'Sourke — uśmiechnął się inspektor — byłem nieraz w swoim dość długim życiu w stokroć gorszym położeniu, a jednak żyję. Ufam, że i tym razem uda mi się ocalić życie tych, których władze powierzyły mojej opiece.

— Czymże będziemy się mogli panu wywdzięczyć?!

Mr. Thompson machnął beztrosko ręką i roześmiał się.

— Jest to moim obowiązkiem, miss, niczym więcej, tylko prostym obowiązkiem. Zresztą pracuję z amatorstwa, z amatorstwa także kładę głowę pod Ewangelię. Jest to mój sport, jak inni mają swoją piłkę nożną, lub kij hokejowy...

W tej chwili wniesiono na stół wódkę i przekąski. Inspektor przywitał trunek uśmiechem ukontentowania, był bowiem głodny.

Po obfitym lunchu, mr. Thompson dalej kontynuował rozpoczętą rozmowę.

— Nie zainteresowałbym się może specjalnie sprawą spadku po Stanford'zie — mówił — gdyby nie zbrodnia, popełniona na młodym Karolu i — gdyby nie gazety, które szeroko opisywały pobyt mr. O'Sullivan'a. Oczywiście uderzyło mnie to od razu, tym więcej, że przeczuwałem zamach na życie zarówno jego, jak i jego kuzynek. Wprawdzie pisma lokalne nie wiedziały o schedzie i dlatego nic nie wspominały o tym, zdawałem sobie jednak sprawę, że tym, komu na tym zależy, artykuły te po prostu wydadzą resztę swych prawnych spadkobierców, bo — dały im ich adres. Przedłożyłem sprawę swym przełożonym z Yardu i postanowiliśmy działać. Nim jednakże uporządkowałem jako tako parę spraw, które wówczas prowadziłem, upłynęło kilka dni. 22 września siedziałem w jednej z miejscowych restauracyj przerzucając dzienniki. Zabierałem się już do odejścia, gdy wtem natrafiłem nogą pod stołem na kawałek papieru, który wydał mi się dziwnie sztywny. Przez ciekawość podniosłem go. Proszę obejrzeć.

Wyciągnął z kieszeni kamizelki skrawek zbrudzonego papieru, pokrytego cyframi:

10. 5. 18. 19.
19. 22. 12. 11. 15.
19. 17. 23. 5. 3. 8
18. 16. 1. 4. 11. 15. 2. 9. 5. 17. 3, 15, 21
18. 19. 1. 14. 6. 15. 17. 4. 1
3. 23. 12. 15. 21. 9. 5. 11. 13. 1. 12, 16, 1
9
4. 21. 9. 5
3. 15. 17. 11. 9
15. 18. 15. 21. 17. 11. 5. 1
4. 1. 14. 9. 5. 12

— Proszę się zastanowić — mówił inspektor — 12 rzędów cyfr, podpisanych pod sobą nie wszędzie według zasad matematyki. Pismo jest niewprawne, toteż każdy mógł przypuszczać, że to jakiś uczeń za zabawiał się wypisywaniem cyfr. Uczniowie jednak nie bywają w tej restauracji, a papier, proszę go uważnie obejrzeć, rozprasza wątpliwości. Jest to papier, na którym drukuje się 20-funtówki. Znaki wodne wykluczają omyłkę. Papier ów mógł należeć tylko do fałszerza pieniędzy i to fałszerza niepośledniego, umiejącego postarać się o taki papier... Wszystko przemawia za tym, że jest to szyfr. Ale jaki klucz do niego, jak odczytać te 12 słów, które mogą mieć jakieś poważniejsze znaczenie? Chwyciłem się najprostszego sposobu, chociaż nie są dziełem zrazu, aby dał mi on pomyślny wynik: zastąpiłem cyfry literami według porządku w alfabecie: litera a równała się „1", „b" — „2", „c" — „3", „d" — „4" i t. d. Muszę tu nadmienić, że kolejność liter nie była ściśle alfabetyczna, opuszczono tu bowiem numerację np. „l", „ó", „x", „y" itd.

— Co pan odczytał, mr. Thompson? — zagadnęła zaciekawiona Ellen.

— Jest tylko trzech spadkobierców Stanford'a, człowiek-małpa i dwie córki O'Sourke'a. Daniel. Tekst, ku mojemu zdumieniu był polski...

— Któż to jest ten Daniel?

— Daniel Żarecki, ten, którego zabił gryl.

— A zatem jeden z tych godnych braciszków zawisnął na szubienicy, czterej padli w walce ze sprawiedliwością, szóstego zabił Mo-To, dwaj zaś zdołali uciec samochodem, uwożąc Daisy — rzekł O'Sullivan. Lecz kim jest trzeci pasażer auta?

— Niewątpliwie jakiś zaufany wspólnik najprawdopodobniej dawny członek „Red-boys", których kilku wałęsa się jeszcze po świecie. Może on z powodzeniem odgrywać rolę trzeciego braciszka; na pewno zaopatrzony jest w jego dokumenty...

Mr. Thompson nie dokończył swych wywodów, dało się bowiem słyszeć lekkie pukanie i do pokoju wszedł sierżant Betcher, uprzejmie salutując.

—Panie inspektorze — rzekł — przed chwilą otrzymaliśmy meldunek, że znaleziono poszukiwany samochód.

XIV. NA TROPACH

Mr. Thompson zerwał się od stołu.

— I co? — wykrzyknął.

— Znaleziono go w Queenstown. Był rozbity, a na przednim siedzeniu leżał okaleczony trup Hieronima Burke'a, znanemu niewątpliwie panu inspektorowi.

— I więcej nic?!

— Woreczek, w którym znajdowało się 7 złotych pierścieni z drogimi kamieniami, pierścień platynowy z drogocenną kameą..

— Ależ o to mniejsza, sierżancie! Co się stało z miss Daisy O'Sourke?!

— Ani panny, ani dwóch mężczyzn, jadących z nią samochodem, nie zdołano odszukać, śledztwo jednak prowadzi cały zespół urzędu śledczego w Cork, toteż...

— Powiada pan, że automobil był rozbity. Czy nie stwierdzono, w jaki sposób.

— Owszem, panie inspektorze. Hieronim Burke, który prowadził samochód, zmarł przy kierownicy wskutek upływu krwi, a



Jak żywcem z bajki o ślicznej królewnie wyjęto scenę baletową nazwaną „Żywa gwiazda".



Podczas uroczystości byłych wychowanków Szkoły morskiej w Paryżu, wystąpiły oddziały marynarki w historycznych mundurach. Na zdjęciu marynarze francuscy z r. 1725.

wóz uderzył na zakręcie w słup telefoniczny. Motor uległ tak znacznemu uszkodzeniu, że samochód nie był zdatny do dalszej jazdy.

— Czy urządzono obławę w melinach?

— Niezwłocznie po znalezieniu samochodu, nie dało to jednak pozytywnych wyników.

— Czyją własnością był samochód?

Sierżant uśmiechnął się.

— Nie zgadłby pan inspektor! Był to urzędowy wehikuł komisarza policji w Queenstown...

Mr. Thompson świsnął przez zęby.

— Szczegóły?

— Skradziono wóz sprzed gmachu policji 26 bm. o godzinie 20. Skradł go jak doniesiono ,znany bandyta Paweł Reuss.

— Paweł Reuss! — wykrzyknął inspektor i uścisnął rękę policjanta. Dziękuję wam, sierżancie, jestem już w domu! Jeszcze jedno: na jaką sumę oceniono mniej więcej „zawartość woreczka?

— Ponad 10 tysięcy funtów.

— Dziękuję, sierżancie i proszę o stały posterunek przy O'Sourke House. Dwóch ludzi wystarczy.

— Natychmiast przyślę dwóch konstabli. Pan inspektor przewiduje nowy zamach?

— Obawiam się, że szajka nie będzie zasypiać gruszek w popiele.

Po wyjściu sierżanta, mr. Thompson w krótkości poinformował Ellen o pochodzeniu znalezionych w samochodzie kosztowności, poczem zgromadził domowników.

— Przez czas mojej nieobecności — rzekł — gdyż za pół godziny wyjeżdżam na poszukiwania miss Daisy, pani, miss Ellen, nie wolno ani w dzień, ani tym bardziej w nocy opuszczać mieszkania. Pan, mr. O'Sullivan, nie powinien w nocy wychodzić poza obręb domu. Sylwester, Romney i małżonkowie Green mogą wychodzić do miasta, ale tylko pojedyńczo i na krótko, w domu bowiem powinno znajdować się zawsze jak najwięcej osób. Lo-Wo i Nosek mają stale towarzyszyć przede wszystkim miss Ellen, której osobę specjalnie polecam twojej opiece, Sylwestrze. Pozostawiam trzy rewolwery. Ten wielki Colt dla pana, mr. O'Sullivan, buldoga zwracam Romney'owi, ten mały browning będzie stale nosiła miss Ellen. Rewolwer po nieboszczyku O'Sourke'u proszę wydać ogrodnikowi. Jesteście tedy, państwo wszyscy uzbrojeni, a większość okien jest zakratowana, macie więc wszelkie dane, aby czuć się bezpiecznie, zwłaszcza, że dom stale strzeżony będzie od zewnątrz przez dwóch konstabli. A teraz na chwilę przeproszę was.

Wbiegł po schodach do pokoiku na facjatce.

Nie upłynął kwadrans, gdy dało się słyszeć pukanie do drzwi wejściowych. Otworzył je Romey, odruchowo ściskając w dłoni rączkę rewolweru. Do pokoju wszedł jakiś niski, przygarbiony obszarpaniec. Blada i zmięta jego twarz nie wróżyła nic dobrego.

Drwiącym wzrokiem zmierzył obecnych i zapytał ochrypłym głosem.

— Cóż to szanowne zgromadzenie ma takie karawaniarskie miny?

O'Sullivan, którego oburzyła bezczelność draba, podszedł doń, zamierzając pochwycić go za kark i wyrzucić za drzwi, ale obdartus zręcznie uskoczył w bok.

— Kawalerze! — wycedził na wpół kpiąco, na wpół groźnie. — Niech-no kawaler schowa łapeczkę, bo — jak mamę poważam...!

Nie dokończył, gdyż rozgniewany olbrzym pochwycił go w swe żelazne ręce. Zanim jednakże zdołał wypchnąć oberwańca za drzwi, twarz jego skurczyła się z bólu, a prawa ręka zwisła bezsilnie. Mistrzowski chwyt dżiu-dżitsu obezwładnił mocarza Wielkiej Puszczy.

— Może zapoznać kawalera także ze sztuką boksowania...? — zagadnął szyderczo obszarpaniec.

Wśród zebranych zapanowała konsternacja. Nagle — ku ogólnemu zdumieniu — Sylwester wybuchnął śmiechem.

— Z czegóż pan się śmiejesz, u diabła? — rzucił gniewnie ogrodnik.

— Spójrzcie państwo na Noska i goryla, chyba to wystarczy za odpowiedź!

Oczy wszystkich skierowały się na zwierzęta.

Lo-Wo siedział w kącie pokoju i spokojnie obgryzał paznokcie, Nosek zaś leżał pod stołem i machał ogonem, a jego świecące oczy i nastawione uszy nie pozwalały mieć wątpliwości, jakie uczucia żywił pies wobec intruza.

Drab cmoknął i oto Nosek jednym susem znalazł się przy nim, rzucił się przednimi łapami w jego ramiona i miłośnie przycisnął pysk do jego szyi.

— Czyżby to był mr. Thompson? — szepnęła ze zdumieniem Ellen.

— W swojej własnej osobie, miss — odparł drab głosem inspektora i roześmiał się wesoło. — No, jeżeli charakteryzacja jest dobra, mogę iść. Bądźcie zdrowi, moi przyjaciele, a ty, Nosek, dobrze pilnuj pani!

Pies polizał jego rękę i odszedł posłusznie do Ellen ,a mr. Thompson zniknął cicho jak zjawa za drzwiami korytarza, zanim ktokolwiek zdołał przemówić.

Sylwester niezwłocznie zajął się obznajmianiem z bronią O'Sullivan'a, który miał o niej zaledwie słabe pojęcie, a następnie urządził dłuższą lekcję strzelania w pokoiku na facjatce.

— Tak, tak, — mówił z dumą do O'Sullivana — pan jest co najmniej ze trzy razy silniejszy od mr. Thompson'a i niewątpliwie dużo zręczniejszy, a mimo to w walce ręcznej na pewno nie pokonałby go pan! Jest on mistrzem w boksie i dżiu-dżitsu, co przy jego zwinności i sile czyni go niemal niezwyciężonym na tym polu.

O'Sullivan uśmiechnął się, chętnie przystając na argumentację starowiny.

Mr. Thompson tymczasem, wciśnięty w kąt odrapanego omnibusu, pędził do Queenstown, pogwizdując jakiegoś walca.

— A więc jeszcze Mikołajek Żarecki i Pawełek Reuss — zastanawiał się — obaj dostatecznie groźni, ale, zdaje się, ciężko poturbowani... O, Ho-To-To, czy jak ci tam — jesteś wielki! Tak oporządzić tych poczciwych chłopaczków! Do końca swoich dni będą chadzać z głowami do góry, aby znów coś nie spadło im niespodziewanie na łeb. Ale ,ale Rysieczku, nie zapominaj, że na tych dwóch chłopczykach nie koniec. Na pewno będzie jeszcze przynajmniej jeden... Ale kto? Mniejsza z tym zresztą. Najpierw trzeba odnaleźć dziewczynę, a potem zabrać manatki i wynieść się gdzieś za granicę, zmyliwszy ślady. Przeczekać jakiś czas, a potem wyfrunąć po miliony wuja Sama. Jeżeli wszystko się uda, staruszek Stanford ze złości gryźnie się w trumnie w piętę... No, ale nie łap ryb przed niewodem, jeszcze nie masz dziewczyny! Rysieczku — stuknął się w czoło — przecież, jeżeli oni byli ranni i w dodatku obarczeni zachloroformowaną dziewczyną, a na pewno odurzyli ją, symulując wobec przechodniów, że nieboraczka zemdlała wskutek wypadku, tedy nie poszli pieszo. Musieli zatem pojechać taksówką, które na tej drodze często się kręcą. I nie czekali długo: najlepszym dowodem fakt. że zapomnieli woreczka z pieniędzmi... Trzeba wybadać szoferów: może uda się odnaleźć zagubiony trop.

Ciąg dalszy na str. 553.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

PRZED BURZĄ

Lipiec... południe... cisza...
— to cisza przed burzą.
Blask słońca drży — oczy się mrużą,
Skronie biją, łomocą.
Grzmi!!!...
— potworne moce...
Chmury — ciężkie, ołowiane smoki
się kłębią,
ruszają na słońce.
Dopadły... Dławią,
duszą, gnębią
— nic nie zostawią...
Koniec... mrok ogarnia świat.
Ryknęły tytany — — —
Błyskawice!!!... rozdarły nieba płat
spłakany — złośnice!...
Wicher się pieni...
Wnosi piasku tumany
— z wściekłości — — —
Wraz z nimi,
pierwsze krople dżdżu
— z litości —
zwilżyły spieczone wargi ziemi...

Apolinary Żurawski.

DOBRE RADY PANI ZOFII

WIARA UZDRAWIA

„Wera Nilda". Słodki jest cały Twój list i załatwia za jednym zamachem to, co dawno już wiązało się między nami. Wierzysz chyba, że jestem Ci przyjaciółką i że sprawy Twoje obchodzą mnie b. gorąco. A najbardziej na sercu leży mi stan Twego zdrowia. Staraj się usilnie odsuwać od siebie wszelkie rozpacze i smutki, a myśl tylko, że najważniejszą rzeczą i... najważniejszym Twoim zadaniem jest dążenie do podtrzymania słabego zdrowia, bo w tym zdrowiu leży spokój i szczęście Twoich Rodziców. Myśl zawsze i nieustannie o tym, Dziecino Najdroższa! Wiara w celowość i konieczność własnego istnienia — ma czasem siły uzdrawiające.

Posyłam Ci przyjacielski uścisk dłoni i uśmiech tkliwy.

FOTOGRAFIĘ ZAMIESZCZĘ

„Lillavati". Fotografia Twoja śliczna — zamieszczę ją w jednym z najbliższych numerów. Sprawę administracyjną załatwiłam.

Dziecino, czy jeszcze zawsze „Rodzinka" pomija Cię milczeniem? Uwierzyć mi w to trudno. Poprawa nastąpić musi jak najszybciej. I z pewnością nastąpi.

Posyłam Ci jasny uśmiech i zamieszczam komunikaty:

„Długas" i „Niesforna Lulu". Mimo mojej prośby o listy od Was, nie odezwaliście się. Trudno! Pewnie na odległość poczuliście do mnie antypatię. A może ktoś inny z licznego grona „Krainiaków" da mi znać o sobie? Bardzo proszę! Raz jeszcze ponawiam komunikat z prośbą o wiadomości, tyczące Hermana Zaklewskiego. I pozdrawiam!"

„Lillavati".

MAŁY WARUNEK

„Uran". Wzruszasz mnie, Chłopcze — sądzę, że nie „rozwieje się" Wam tak szybko i długo jeszcze będziemy wspólnie snuć baje dobra i radości w naszej zaczarowanej „Krainie".

Komunikaty Twoje zamieszczam w całości pod warunkiem, że w przyszłości postarasz się przysyłać je częściej a w mniejszej liczbie. Posyłam Ci przyjazny uśmiech.

„Długo nie odzywałem się do Was, Mili „Krainiacy" — nieprawda? Nie bierzcie mi tego jednak za złe, gdyż prawie zawsze o Was myślałem i już niejednokrotnie chwytałem za pióro, by Wam podziękować gorąco za serdeczności i słowa uznania — wypowiedziane pod adresem moich skromnych wierszy — ale zawsze znalazło się coś takiego, co nie pozwoliło mi dokończyć; aż tu (o zgrozo!!) gdy się spostrzegłem, minęło już sporo czasu od chwili, gdy ostatni raz do „Krainki" pisałem.

Bez żadnych przeto skrupułów, zasiadam dzisiaj pospiesznie do stołu i biegnę do Was z słowami serdecznych przeprosin i... bardzo, bardzo dziękuję za każde z osobna słówko pamięci, a nawet za każdą bodaj najmniejszą myśl o mnie.

Doprawdy — nie wyobrażacie sobie, ani nie macie najmniejszego pojęcia o tym, jak bardzo zależy mi na Waszej przychylności i jak bardzo się cieszę, gdy mnie wspominacie.

Korespondować jednak niestety, pomimo najszczerszych chęci ze wszystkimi, którzy mnie o to prosili nie mogę, a to dla tego, (bądźmy szczerzy), że jestem bardzo — może najbardziej z Was wszystkich Drodzy — zależnym materialnie i nie stać mnie doprawdy na tę rozrywkę. Może się to Wam wydać śmiesznym i poczytacie to za niemądry wykręt, a jednak wierzcie mi, tak jest w istocie. Dla wyjaśnienia powiem Wam, że jestem tylko w dwudziestym roku, a mając stosunkowo niskie wykształcenie nie mogę znaleźć — pomimo usilnych starań żadnego zajęcia i jestem całkowicie na łasce — również dość niezamożnych rodziców.

Przykro mi z tym bardzo, ale trudno, młodym zwątpieniu poddawać się nie wolno. Trzymam się przeto dość, że tak powiem, dzielnie i wierzę niezłomnie, że się wszystko z biegiem czasu poprawi i że i dla mnie raz kiedyś jaśniejsza gwiazda zaświeci. Zobaczymy!

„Arianko"! Pani jest Anną B. — nieprawda? Proszę przyjąć ode mnie serdeczne dzięki za tyle miłych słów, skierowanych do mnie w liście i pocztówkach! — Proszę bardzo o adres!

„Smutna Dziewczynka znad Gopła". Dziękuję za miłe słowa. Wierszyk w przyszłości znajdzie się.

„Helusieńka". Proszę wybaczyć! T. i Stefkę pozdrowiłem — serdecznie dziękuję. Przeznaczyłem dla Pani wierszyk — może się ukaże.

„Eden" — nie znam! Za miłe słowa bardzo Pani dziękuję. Zadedykowałem Pani wiersz: „Łódka", nie wiem tylko, czy go Wujek Janusz zamieści.

Halo Pani St. Roslewska, Pani Zofia Borucka i „Wierzba na pustkowiu" — w „teczce" leżą zakwalifikowane, a Wam przeznaczone wiersze.

Wszystkim paniom, które się mną zainteresowały, będę się starał przygotować podobne niespodzianki. „Biały Wrzosie", „Marzące oczy", „Lang - Cheng", „Taka sobie Halina", „Wiejskie Dziewczę", „Ninette", „Dziewczę z Puszczy", „Smutna Kazieńko", „Wicho" „Mała Konwalijko", Wenio Andryszakówno, „Zairo"... „Koralowe usta" „Czarodziejko", „Paddy incognito", „Wesoła Pomorzanko", „Uluto", „Maniusiu", „Zoniu", „Mary", „Jadźko z kioska", „Uśmiechu Szatana", „Szara Falo", „Blanko", „Wędrowny Trubadurze", „Armeńczyku" i „Rozbójniku" — za słowa pamięci i pozdrowienia, wyrażone do mnie w komunikatach, bądź też w pocztówkach, jak najserdeczniej dziękuję, zasyłając dużo, dużo życzliwych uśmiechów. Pamięć o Was w mym sercu zawsze trwać będzie!

Również dużo serdeczności i słów szczerych pozdrowień zasyłam — „Cisieńce", „To-ja", „Jadwidze Limbie", „Przeklętej Iwie", „Zazie", Apolinaremu Żurawskiemu, „Samotnemu S." i p. Mieczysławowi Grzegorskiemu. Ten ostatni niech wie, że lubię Go bardzo za Jego szlachetność i uczuciowe wiersze.

Na zakończenie przesyłam państwu Antosiakom z T. pozdrowienia i uściski rąk. Wiecie kto jestem?"

ZAMÓW W ADMINISTRACJI

„Nieszczęśliwa Niniusia". No sprawuj się dzielnie w Poznaniu i przede wszystkim nie zaniedbuj swej pracy. Pamiętaj, że dobrze wykonywana praca codzienna daje człowiekowi największe zadowolenie — większe niż cokolwiek!

„Moich Powieści" w kiosku nie szukaj, bo ich nie rozsyłamy na kolportaż, lecz zamów normalnie w naszej administracji lub na poczcie.

Łączę uścisk dłoni i oczekuję nowej wiadomości!

Komunikaty:

„Kochani „Krainiacy"! I znów los rzucił mnie dalej od rodzinnego domu, ale nie rozpaczam już. Wierzę, że i dla mnie zaświeci kiedyś słońce. Wiarę tę wszczepiła mi jedna z naszych „Krainianek", kryjąca się pod pseudonimem „Młody Las". Kochani — komu smutno i źle na świecie, niech napisze do „Młodego Lasu". Ona, ta miła i dobra dziewczyna rozweseli Was i napełni otuchą. Komu smutno, niech pisze do niej. „Młody Lesie". Kochana Władko, tak czekam na Twą odpowiedź! Co jest powodem Twego milczenia? Pisz, Kochana i przyjmij pozdrowienie.

„Maleńka Li-Lea". Siostrzyczko z daleka przysłałaś mi pozdrowienia — serdecznie Ci za nie dziękuję i również pozdrawiam i całuję. Jeśli możesz napisz — z przyjemnością odpiszę.

„Smutna Ślązaczka". Jak widzę, to gniewasz się na mnie, że nie dałam znaku życia na pierwszy Twój komunikat. Otóż powiem Ci, że Twój fotos mam nawet w albumie i codziennie podziwiam Twą buzię. Przyjmij pozdrowienia i ucałowania. A może skrobniesz, co?

„Smutna dziewczynka znad Gopła". Dziękuję Ci za pozdrowienia i pozdrawiam również. Gdybyś napisała, odpowiem na pewno.

„Blady Kwiat". Dziękuję za pozdrowienia. Jeśli masz ochotę, napisz, odpowiem. Pozdrawiam i całuję.

„Kresowiak ze wschodu". Pierwsza napisać boję się, pozdrawiam i dziękuję za pamięć.

„Tajemniczy Nieznajomy". A czy wolno odgadnąć tajemnicę? A może sam Pan zdradzi lub napisze? Dziękuję za pozdrowienia i pozdrawiam również.

P. Lolek P. Pszczyny. Pozdrawiam — choć zapomniana.

Jureczku! Przyjmij pozdrowienia i b......ka i pamiętaj o Niniusi. Pozdrowienia dla wszystkich „Krainiaków" z Poznania, obecnie i ja się do Was zaliczam. Tym wszystkim, którzy o mnie pamiętali, a których przez zapomnienie nie wymieniłam, serdecznie pozdrawiam i dziękuję!

P. Marylo Szulc. — Mogilno! Pozdrawiam serdecznie, również p. Szlagę".

„Nieszczęśliwa Niniusia"

CHODZI O DOKŁADNY ADRES

„Człowiek lasu". Przyjęty już jesteś do „Krainy" i Twoje zdjęcie zdążyło Ci już zjednać sympatię, ba! nawet list dla Ciebie zalega w redakcji, ale nie prześlę Ci go wcześniej, nim nie nadeślesz dokładnego adresu. Więc czekam i pozdrawiam!

Komunikaty:

Uznanie za piękne wierszyki przesyłam „Blance", „Białej Uajali", „Wiedźmie z debry" i wszystkim poetkom i poetom. Zainteresowała mnie „Zuch dziewczyna", „Luteńka", „Czarny Hajduczek", „Przedwiośnie", „Kropelka leśnej rosy", „Marzące oczy", „Smutna dziewczynka znad Gopła", i „Chochlik", którym to paniom przesyłam całe wagony serdecznych pozdrowień. Może któraś z Pań do mnie napisze? Jako nowicjusz pierwszy nie mam odwagi. Halo Bydgoszcz! tutaj ślę osobne pozdrowienia, gdyż i ja jestem waszym rodakiem. „Aneczko", „Mała Gwiazdeczko z Bydgoszczy" — proszę piszcie do mnie na adres Bydgoszcz 1 Poste-restante dla „Człowieka lasu". Ponadto ślę serdeczne pozdrowienia dla wszystkich pozostałych „Krainianek" i „Krainiaków".

CZY TAK JEST?

„Mała Wróżka". Bezwzględnie, że nie mogłaś porzucić gości w celu pójścia na dworzec na spotkanie przyjezdnej osoby. Należało potem tylko wytłumaczyć tej osobie sprawiony nieumyślnie zawód i wszystko byłoby w porządku. Czy tak jest?

W tej, drugiej sprawie mogę tylko powiedzieć, że wszystko wydaje mi się być w porządku.

Posyłam Ci dobre życzenia i pozostaję w oczekiwaniu na następny list!

„Biała Uajali"! Dlaczego, Kochanie milczysz i nie piszesz do mnie? Czy uczyniłam coś złego? Jeżeli tak, to przepraszam, ale myślę, że nic! Mam ochotę zawitać do Ciebie, lecz później. Całuję ukochane oczka i ślę miłe pozdrowienia, oraz czekam na znak!

„Śniadula". Podobasz mi się szalenie. Chętnie nawiązałabym korespondencję z Tobą, lecz nie wiem czy zgodzisz się? Jeżeli tak, to skreśl do mnie liścik, adres u Pani Zosi. Pa! Czekam!...

„Koralowe Usta". Czy naprawdę są to koralowe usta? Jeżeli tak, to całuję Je, prosząc o liścik! Zgoda? Tymczasem zasyłam uśmiech wiosenny!

„Enka". Za nieprzybycie, ładnie przeproszę, — zawitam do Chojnic, zgoda? Czekam na liściki. Pa!

„Dżentelmen Śląski". Za liściki dziękuję bardzo! Kiedy otrzymam obiecane? Czekam i zasyłam dużo całusków, lecz takie po 5—10 gr. Pa!

„Kujawiak". Czy Pan jest Kujawiakiem? Jeżeli tak, to bym znała Pana może, a jeżeli nie to trudno. Proszę o liścik? Czekam!

„Marpol". Może się zapoznamy? W tym roku wakacje spędzę nad morzem. Może Pan skreśli kilka słów, a odpowiedź otrzyma Pan na pewno! Tym czasem Pa!

Dla całej „Krainki" ślę serdeczne pozdrowienia, masę buziaków słodkich! Z tym, oby nie zapomnieli że w „Rodzince" znajduje się „Mała Wróżka", która przepowiada przyszłość".

WIĘCEJ WIARY W LUDZI!

„Ira II". Dziękuję Ci za dobre życzenia i wzajemnie ślę jak najserdeczniejsze! Trzymam Cię za słowo i oczekuję przyrzeczonego listu. Mówisz wszak, że będziesz rozmawiała ze mną szczerze i regularnie. (Ważne!)

Na Twoje pytanie — pamiętasz je dokładnie? — odpowiadam z całą stanowczością, że tak. Mam na to bardzo konkretne dowody. Szkoda, że nie możesz porozmawiać ze mną „w cztery oczy" — jestem pewna, że przekonałabym Cię całkowicie.

Łączę serdeczności i proszę o większą wiarę w ludzi.

Komunikaty:

„Serdeczne pozdrowienia dla Pań: „To-ja" i „Lucet". Oczywiście z dyskusji — nic!

„Dżentelmen Śląski" — serdeczne dzięki za miły list. Proszę wybaczyć, że nie odpiszę — ale... cofam się na całej linii. Pozdrawiam.

„Zrównoważonemu Jasiowi" dziękuję za pozdrowienia, które odwzajemniam.

„Promyk" — znajoma mi jest Pana twarz. Czy nie widziałam Pana w pociągu?"

CZY WIERZYSZ?

„Łobuz w spódnicy". Wzruszona jestem zaufaniem, jakim mnie obdarzasz i możesz mi wierzyć, że dołożę starań, aby Cię nie zawieść. Słusznie mówisz, że kogo Bóg miłuje, temu też zsyła krzyże. A co do Ciebie, to myślę, że swoją wielką radość otrzymasz jeszcze na tym brzegu — czy wierzysz?

Łączę serdeczny uścisk.

Komunikaty:

„Łobuz znad Wisły". Wybacz, że odpowiedzi na list nie będzie, ale ponieważ dzieli nas wielka różnica lat, korespondencja nie sprawiłaby nam zadowolenia. Życzę pomyślności i miłe pozdrawiam!

„Królowa Gizella"! Nie smuć się zbyt, Ryś! Bądź tylko dobrej myśli, a smutek Twój w radość się przemieni. Zobaczysz! Pa, kochanie!

„Tajny Detektyw"! Przez Twą chorobę i bytność w szpitalu straciłam kontakt z Tobą i nie wiem, dokąd kierować listy, bo Lwów przecież jest duży! Będziesz miał żal, że Cię w chorobie opuściłam, ale to nie z mojej winy. Życzę jak najszybszego powrotu do zdrowia i czekam stęskniona za listem.

Chciałabym nawiązać korespondencję z „Erosem", „En-ka", „Smutnookim Jasiem", „Tajemniczym Nieznajomym", „Długasem", „Błędnym Ognikiem", któremu to donoszę, że jak ze zdjęcia wynika, musi być filutem nielada! Może zdobędziesz się na odwagę i napiszesz też do filuta, tylko że w spódnicy. Wszystkim poetkom i poetom wywodzącym się z naszej braci „krainiackiej" słowa szczerego uznania za ich twory. Reszcie zaś, tym bez „iskry Bożej" ślę słoneczne uśmiechy

„Łobuz w spódnicy".

CZY ISTNIEJE ?...

„Bez pseuda". Przyjmuję Panią jak najserdeczniej do naszego grona. Mam niepłonną nadzieję, że wszyscy będziemy zadowoleni z nowej naszej siostrzyczki.

Niech ona przyjmie nasz pierwszy życzliwy uśmiech, a my przeczytajmy z zainteresowaniem jej apel. Oto on:

Czy istnieje na świecie ktoś, kto potrafi wraz ze mną na strunach własnej duszy zagrać pieśń o szczęściu młodości?

Czy istnieje na świecie ktoś, kto posiada, jak ja, wszystko i... nic?

Czy istnieje na świecie ktoś, kto poda mi dłoń, bym mogła wspólnie snuć, starganą przez złe ręce, nić z przędzy pięknych marzeń o szczęściu?"

„Bez pseuda".

ADRES ZANOTOWAŁAM

„Yoshimura". Nowy Twój adres zanotowałam administracja również. Odtąd więc będą Ci przesyłane numery „Moich Powieści" na nowy adres, jeżeli naturalnie doręczanie takie okaże się możliwe.

Zdjęć Twoich nie zamieszczę, jakkolwiek wszystkie są bardzo ładne i nienajgorzej wykonane. Powód? Powinieneś sam go znać. Radzę Ci też wykazać trochę więcej ostrożności i rozwagi. Rozumiesz, co mam na myśli? To dobrze! Zatem nie masz do mnie żadnego najmniejszego nawet żalu? Cudownie.

Życzę Ci, Chłopcze, pomyślności w pracy i wielu uśmiechów, bo Ci się teraz szczerze przydadzą!

I pisz proszę jak najczęściej!

OCZEKUJĘ

„Zuch - dziewczyna". Życzę Ci wesołej zabawy i wielu wrażeń nad morzem. Oczekuję też pilnie wiadomości. Pa!

Komunikaty:

„Tyran". Nie jestem „słoneczną dziewczyną", raczej księżycową, bo twarz moja, to księżyc w pełni.

„Przybłęda Leśny". Śmiesz wątpić w mą zuchowatość i odwagę, ale jeśli urządzę Ci jakiś kawał, nie miej, proszę, do mnie żalu.

„Błędny Ognik". Dlaczego nie odpisujesz i nie przysyłasz obiecanej fotki? Chodzi w tym wypadku o tę w parku, ale czekam na kilka słów dedykacji.

„Serce Śląskie". Czekam z niecierpliwością nie tylko na list, ale na samego „Zbijobruka". I czy naprawdę wolno przysparzać tyle kłopotów naszej p. ??? Trochę więcej ostrożności Ci życzę, Ziuku, i postaraj się wpaść do Łodzi".

A MOŻE JEDNAK ?...

„Poboczna obserwatorka". Życzenie Pani spełniłam. Wyznać muszę, że zaintrygowała mnie Pani niesłychanie — czy nie zechciałaby Pani powiedzieć mi trochę więcej o sobie i zdradzić swoje incognito?

„Rodzince" naturalnie przekazuję pozdrowienia od... dawnej „Krainianki", a dziś już tylko pobocznej i życzliwej obserwatorki.

A może jednak wróci Pani do czynnego życia w „Krainie"? Będziemy radzi! Czołem!

NIE WĄTPIĘ!

„Chryzotemis". Przyjemnie mi przyjąć do „Krainy" kilkuletnią prenumeratorkę naszego tygodnika — sądzę, że odtąd będziesz równie wierną i wytrwałą członkinią naszego zgranego Koła.

Z fotografii widzę, że jesteś ładną panienką, a z listu wnioskuję, że umiesz też być bardzo ujmującą. Nie wątpię, iż w krótkim czasie zadzierżgniesz więzy przyjaźni z niejedną „pociechą" „Rodzinki".

Pozdrowienia dla wszystkich i prośbę o pamięć niniejszym przekazuję.

Bywaj mi!

NAPISZ DUŻO!

„Góraleczka". Komunikat zamieściłam. Czy mieszkasz już gdzieindziej? Napisz mi dużo, dużo.

Posyłam Ci promienny uśmiech.

W PORZĄDKU ?

„Wołyniak". Powtórnie zleciłam załatwienie administracji Twej sprawy — sądzę, że teraz jest już wszystko w porządku.

W sprawie komunikatu otrzymałeś list na dawny jeszcze adres.

Łączę mocny uścisk prawicy.

ŻYCZĘ POMYŚLNYCH WYNIKÓW

„Wołyniak". Dziękuję Ci za pozdrowienia, nadesłane dla całej „Rodzinki" i dla mnie. Sprawę prenumeraty załatwi nasza administracja.

Przyjmij serdeczne życzenia pomyślnych wyników z kursu i przyjazny uścisk dłoni!

O SPRAWOZDANIE Z WYCIECZKI

„Blanka" przesłała nam pozdrowienia z Wilna. Dziękujemy i... oczekujemy sprawozdania z wycieczki.

KOMUNIKATY „PRZEKLĘTEJ IWY"

„Wołyniacy z „Krainy", możebyśmy tak urządzili Święto Morza? Co? Albo zjeździk w Równem? Przydało by się. Skrobnijcie coś na ten temat.

„Tajemniczy Nieznajomy". Po co szukać po górach. Iwa rośnie nad rzeką przy „tajemniczej budowie". A Pan o tym nie wie, że takie drzewiny lubią wodę, Panie z Młynowa?

„Czarny Diabełek". Zdjęcie bardzo niewyraźne, prawie białe, jak mogę uznać, żeś czarny. Zamieść inne... Czy triumwirat sił złych mam kryć w cieniu swoich konarów?

„Samotny S." Oj, nie znamy się... Nie... Proszę się odezwać, ale nie takim lakonicznym stylem".

„Przeklęta Iwa".

MOJE GRATULACJE

„Maleńka Li - Lea". Cieszy mnie niewymownie to, o czym mi donosisz. I składam Ci serdeczne gratulacje.

Nie możesz sobie wyobrazić, jak mile uderzył mnie fakt, że pielęgnujesz w swoim amerykańskim domku polskie goździki — dziękuję Ci za ten nadesłany jeden goździk. Te goździki są symbolem Twego przywiązania do Ojczyzny. Naucz męża dobrze mówić po polsku i nie pomijaj żadnej okazji, która by mogła go wzruszyć i przywiązać do starego kraju. Masz przed sobą wielkie zadanie i stań się go godną. Bądź wielką orędowniczką polskości na obczyźnie.

Sprawę prenumeraty definitywnie załatwiła nasza administracja.

Łączę dla Ciebie serdeczne uściski i oznajmiam, że niecierpliwie oczekiwać będę następnego listu!

„Góraleczka". Dziękuję P. za tych kilka szczerych słów, które tak słodko i miło wpłynęły do samego serca i sprawiły mi wielką radość.

Bardzo proszę napisać mi dużo, dużo! Gdy będę je czytała, przeniosę się myślą w Pani stronę.

„Amerykanin" Prosi Pan o podjęcie kilka tysięcy w banku. Ciekawam na co? Jeżeli na obronę Ojczyzny, to bez długu może się to obyć, gdyż każdy Polak dobrowolnie daje składki, choćby tylko na jedną kulę na wroga, a już się zebrało kilkanaście tysięcy.

Pozdrawiam Pana.

„Marzenka z Ameryki". Czy wolno mi zapytać w jakiej dzielnicy Pani mieszka, proszę mi napisać, możebyśmy mogły się spotkać. Ślę Pani nasze milutkie polskie „Pa"!

JESZCZE AKTUALNE!

„Szatynka z Podlasia". Odpisuję na trzy Pani listy, Kochana! Dowiaduję się z nich, że w życiu Pani zaszły duże zmiany i co gorsza, że nie jesteś z nich zbytnio zadowolona. To przykre! Wolałabym widzieć Panią zupełnie zadowoloną i szczęśliwą.

Jeżeli zmieni Pani obecnie miejsce pobytu, to proszę mi o tym donieść.

Jak mnie się powodzi? Dziękuję! Życie upływa mi równo, gładko w spokojnym zadowoleniu i pracy. Na wakacje wyjadę wkrótce. Naturalnie „Rodzinka" nic na tym nie ucierpi gdyż nie zaniedbam jej przez ten okres. Moje przyrzeczenie jest zawsze jeszcze aktualne, a Pani będzie uprzejmą wybaczyć mi zwłokę.

Sprawę przesyłki „Moich Powieści" pod opaską załatwiła nasza administracja. Spodziewam się, że numery otrzymuje Pani regularnie.

Łączę serdeczny uścisk i przechodzę do komunikatów:

„Samotny — Chorzów I". Pozdrawiam. Mieszkam obecnie na Polesiu. Czuję się nieszczególnie. Adres mój u p. Zofii. Życie jednakże, Panu wiadome.

„Przylepka". Pozdrowienia odwzajemniam w pełni. Proszę coś napisać pod mój pseudonim, chętnie odpiszę. Jestem szczerą, lubię szczerość, szukam szczerości.

„Smutna dziewczynka znad Gopła". Pozdrawiam. Nie mieszkam w Poznaniu. W druku zaszła omyłka. Mieszkam na Polesiu obecnie,

przedtem na Podlasiu".

Załączam serdeczne pozdrowienia dla „Słonecznej Jasienki", „Dziewczynki z zaklętego młyna", „Faridy", „Smutnej dziewczynki znad Gopła", „Białej Brzózki", „Złotego Dzwoneczka". Wszystkie Krainianki serdecznie pozdrawiam i mocno całuję. —

„Enka": Nie jestem sztubaczką, lecz już dojrzałą kobietą. Dziękuję Panu za wierszyk, skierowany pod moim pseudonimem. Pozdrawiam Pana.

„Armeńczyk": Czekam na obiecany list.

„Błędny Ognik": Pozdrawiam Pana wojskowym: Czołem!

„Stem". Gdzie zapewniona odpowiedź? Czyżby Pan pogniewał się? Wszystkich bez wyjątku pozdrawiam.

ZŁO MUSI MINĄĆ!

„Twoja Szarotka". Niespokojna jestem o zdrowie Twej Drogiej Mateczki — napisz mi szybko, czy może nastąpiła poprawa. I napisz mi trochę więcej o swej Siostrzyczce. Jeżeli chodzi o Twoją Mateczkę, to mam wrażenie, że ta choroba nie będzie tak groźna, jak przeczuwasz — jest to wytłumaczalne i na pewno zakończy się szczęśliwie. Leczyć naturalnie trzeba i to z całym poświęceniem oraz z wiarą w dodatni skutek. Spokój, uśmiech i stała obecność osób jej najdroższych. Ponure twarze drażnią chorego — proszę o tym stale pamiętać.

Wierszyki oczywiście oddałam Wujkowi, komunikaty zamieszczam poniżej, a Ciebie, Krzysiu, całuję.

Komunikaty.

„Krzysia Leśniczanka". Czemu nie piszesz? Całuję Twą buźkę po tysiąc razy.

„Tajemniczy Nieznajomy". Ślę serdeczne pozdrowienia i dziękuję za kilka słów, poświęconych mnie w wierszu.

„Pell". Bardzo mi przykro, że odrzucił Pan mój komunikat, więcej już im napiszę.

„Irusia z Wołynia". Powyższe stosuje się i do Pani. Wszystkich serdecznie pozdrawiam, prosząc aby ktoś naprawdę smutny i samotny napisał do mnie. Może ktoś z Torunia. A dlaczego z Torunia, to ten się dowie, co napisze. Czekam. Adres u Pani Zosi.

TO CI FILOZOFIA!...

„Taki jeden". Nie mogę być zadowoloną z tego, że chcesz spróbować pisać mniej, jako że w ogóle piszesz dość rzadko. Jakby cała „Rodzinka" uwzięła się posyłać mi tylko od czasu do czasu słów kilka, to wreszcie nie miałabym komu odpisywać. Przyzwyczaiłam się już mieć stale na biurku pokaźny stos listów do zalatwiania i dalibóg dziko czułabym się, gdyby pewnego dnia ten stos zmalał do paranastu listów. Moim żywiołem jest praca — bez niej, nie wyobrażam sobie życia. A Ty? Kiedy wyjeżdżasz na letnie wakacje? Wybierzesz sobie ładną miejscowość, aby dostarczyła Ci wielu przyjemności. Praca po przyjemnym wypoczynku staje się jeszcze raz tak miłą, jak zwykle.

Fotografia? Łatwo może ją zdobyć, kto bardzo chce. Wystarczy pojechać z aparatem, poprosić o ładną minę, nastawić obiektyw i po minucie klisza uchwyci obraz danej osoby. Filozofia — co?

Posyłam Ci wesoły uśmiech. Bywaj!

ROZPRASZAMY CIĘŻKIE CHMURY!...

„Altruista". Ejże, obawiam się nie na żarty, obiecanej srogiej kary i z tego strachu czym prędzej zamieszczam ten Twój ważny apel. Czy chmura na Twoim czole stała się dzięki temu mniej czarna i cięższa? Cieszy mnie to bardzo!

Zatem posyłam Ci radosny uśmiech.

Apel do smutnych „Krainianek".

„Halo! Smutne Dziewczęta., nie traćcie nadziei! i nie uskarżajcie się już na brak przyjaźni, lecz piszcie do mnie śmiało, bez żadnej bojaźni. Ja odpowiem na listy po kolei.

Znacie mnie przecież dobrze: — Jestem „Altruistą"; umiem pocieszać serca stęsknione i chore.

„Jadwiga Limba". List wysłałem. Imponuje mi Pani Swą skromnością. Ślę serdeczne pozdrowienia.

„To—ja". Za pozdrowienia dziękuję i odwzajemniam. Jakoś nie mam odwagi pierwszy napisać. Może się jeszcze namyślę".

KOMUNIKATY „WIEDŹMY Z DEBRY"

„Ściskam łapki „Góralecze" i „Smutnej Dziewczynie znad Gopła". Wróciłaś? Napiszę. „Wesołej Wdówce" i „Aneri" i wszystkim, którzy uznali moje wierszyki za ładne, odwzajemniam pozdrowienia, z dołączeniem miluśkiego „pa", dla „Altruisty" i „Zrównoważonego Jasia".

„Safo". Czemu Pani ma wystąpić z „Krainy"? Co będzie z naszą wyprawą po eliksir radości?

„Litwinka" i „Marzenka z Ameryki" — omyliłyście się, Kochane. Posyłam Wam całusy paczką żywnościową, bo to najtaniej wynosi.

„M. Rysia". Śliczna?... może dlatego, że nie widać burych oczu, rudych włosów, oraz że nie jestem na łopacie, miotle, czy też jakimś ożogu.

„Samotna Jodełka" i „Gałązka Świerku". Z jakiego jesteście lasu? Jeżeli z wołyńskiego, zaszumcie, żebym posłyszała.

„Taka sobie Halina". Czego czekasz znaków? Pisz prędzej!

„Czarny Diabełek" — zawrzeć przymierze mogę nie tylko w przedpieklu, ale i w samym piekle wziąć Lucyfera za świadka, a sieci się nie boję.

„Rowerzysta". Czemu Pan zaspał z wystąpieniem do „Krainy" z apelem? Zaprosiłabym w wołyńskie lasy obfite w poziomki, a w ogrodzie plantacja truskawek i było nas 4, byłoby wesoło, tym bardziej, że lubimy ten sam sport, (sądzę z pseuda) było by wiele urozmaicenia.

Całej „Krainie" moc serdeczności!

Uwaga! Z powodu, że jeden miesiąc spędziło u nas kilka pań, drugi mogą spędzić dwaj panowie. A więc komu odpowiada spokój i cisza w ładnej zalesionej okolicy, niech się zgłasza!"

„Wiedźma z Debry".

NIL DESPERANDUM!

„Motylek". Weź sobie ten nagłówek mocno do serca i nie rozpaczaj, że dotąd nie masz dowodów sympatii „Rodzinki". Nowych sympatyków obojga płci przybywa tak wiele, że dawnym członkom trudno od razu okazać im zainteresowanie — przecież oni wszyscy mają swoje codzienne zajęcia i swoje różne przyjemne, tudzież przykre sprawy, które pochłaniają lwią część ich energii i czasu. A nowi członkowie zazwyczaj oczekują na inicjatywę dawnych, miast samym wyruszyć na zdobywanie ich sympatii? Moim zdaniem nie jest to najlepsze wyjście i dlatego często zawodzi.

Konkluzja stąd taka, że powinnaś zabrać się energicznie do podboju i w najkrótszym czasie donieść mi o pozytywnych jego wynikach. Sympatię ludzką trzeba sobie czasem wywalczyć — racz o tym pamiętać, „Motylku"!

Komunikaty:

„Blanka" i „Biała Uajali". Bardzo pokochałam Was za te piękne wierszyki. Czy można za nie ładnie ucałować?

„Słowianin". Zdaje mi się, że już zdobyłeś sympatię „Rodzinki" — przynajmniej jednej z jej grona.

„Błędny Ognik". Czy naprawdę jesteś takim sympatycznym wojakiem, jak słyszałam?

„Promyk". Przyjmij specjalne pozdrowienia i miły uśmiech!"

WAŻNA PRZYCZYNA

„Banialuka". Wreszcie Twoje milczenie przestało być dla mnie tajemnicą, Drogi Dzieciaku! Więc pilna nauka była przyczyną — ważna i usprawiedliwiona to przyczyna.

Cieszę się, że będziesz uczyła się dalej. A „Zbijobruk poznański", czy ukończył już studia? Zależy mi bardzo na wiadomości o niej.

Uwzględniłam Twoją pilną prośbę, jak sama masz okazję stwierdzić. Całuję Twój roześmiany buziak i oczekuję nowego długiego listu.

Komunikaty:

„Jagienka". Teraz ja z kolei pół roku milczałam. Nie sądź jednak, że to rewanż. Po prostu kułam na gwałt. O ile masz jeszcze ochotę, to napisz. Do D. można zawsze pisać, list dojdzie.

„Biała Uajali". Dziękuję serdecznie za miłą niespodziankę w postaci wierszyka. Szalenie mi się podobał. Wtedy było mi trochę smutno, ale teraz tak mi lekko na duszy!

„Rowerzystka z Pomorza". Widziałaś moje zdjęcie? Ja o Tobie też trochę słyszałam i miałam ujrzeć Twoją buźkę, ale dotąd nie widziałam, bo nie wiem, co się z Helunią dzieje.

„Gladiator". Ciekawam, co Panu podsunęło tę myśl, wyrażoną w wierszyku? Zgadł Pan. Nie były to jednak marzenia ściętej głowy, bo będę teraz rzeczywiście częściej odwiedzać kino.

„En-ka". Chciałabym dostać od Ciebie liścik. Czy napiszesz, Żołnierzyku do Sztubaczki?

„Te-Em". I cóż? Przegrałeś czekoladę. Twoje złe wróżby na nic, bo właśnie dobry koniec. N. już mgr.

„Kazimierz Junoszyc"! Rozumiesz teraz, czemu nie miałam nigdy czasu? Moc pozdrowień ślę wszystkim po fachu no i wyższej generacji to jest podchorążakom i studenterii.

Wszyscy, którzy odwiedzają Poznań i mają ochotę poznać „Banialukę", niech napiszą przez Żnin.

Kto zdecyduje się napisać? Czekam!"

BO...

„Koralowe usta". Odpisuję na dwa Twoje listy i jedną pocztówkę. A Ty brzydulo jedna! To Ty masz odwagę twierdzić, że ja Ciebie nie lubię? A nie chciałabyś czasem otrzymać „skórobicia"? No, bo jak mi będziesz pleść takie androny, to gotowam Ci je urządzić. I potem co? Gorzkie łezki będą spadały na drżące i nagle pobladłe „Koralowe usteczka".

A mnie z kolei zmiękłnie serce na wosk i będę Cię musiała tulić, pocieszać bez końca, zaś reszta „Rodzinki" da się ponieść zazdrości i potem wszyscy zaczną wyskrobywać, że ich nie lubię. Ładna perspektywa!...

Powiedz mi dzieciaku, jak zdałaś egzaminy i gdzie wyjeżdżasz na wakacje? Pragnę, abyś się spędziła ku pełnemu zadowoleniu.

Aparat Twój niech nie próżnuje — zrób wiele pięknych zdjęć i nadeślij nam kilka na pokaz.

Nie pamiętam, jaki ma pseudonim osoba, o której piszesz — może daj w tej materii apel?

Mam Cię polecić jakiejś „Krainiance", mającej 16—17 lat. Czynię to niniejszym, nie wątpiąc, że otrzymasz odpowiedź.

Brawo! Gratuluję Ci szefie II-giej drużyny P. W. K. i życzę wiele osiągnięć na tym polu!

A teraz kończę uściskiem (zamiast skórobicia) i przechodzę do komunikatów:

Komunikaty:

„Słoneczna Jasieńka" Ninko, całuję mocno i proszę pisz częściej!

„Biała Uajali". Mam takie same imię. Pozdrawiam.

„Tajemniczy Nieznajomy". Czy jesteś ze Lwowa?

„Ta - N - 4". Pozdrawiam i proszę, napisz do mnie!

Ninkę S. całuję mocno.

„Wołyniak". Byłabym bardzo uradowana, gdyby Pan do mnie napisał. Możemy się kiedyś spotkać w moim rodzinnym mieście — Lwowie. Więc?

„En - ka". Pierwsza do mężczyzny nie piszę. Napisz a odpiszę.

„Zielone oczy". Pozdrawiam. Szalenie lubię zielone oczy.

„Lucyna". Jeżeli mieszkasz na Zniesieniu, to się znamy.

„Pensjonarka". Napisz pierwsza. Mieszkasz we Lwowie?

„Rajski Ptaszek", „Czarny Diabełek", „Donia", „Długas", „Sztubak spod lasu", „Zadzior", „Samotny Rom", „Mistyk", „Marzący Rom" — przyjmą promienne uśmiechy.

Kto z „Krainiaków" zechce poznać mój Lwów — będę przewodnikiem?!

POMYŚLNOŚCI!

„Abnegat". Przyjęty jesteś do naszej „Rodzinki" — teraz pozostaje Ci tylko zjednać ją sobie i wzajemnie okazać jej jak najwięcej sympatii.

Życzę Ci pomyślności i posyłam uścisk prawicy!

5 PYTAŃ — 5 ODPOWIEDZI

„Jagienka“. Ejże, pogoda zmieniła się ostatnio na lepsze, więc zapewne przestałaś jej złorzeczyć?

Odpowiadam na Twoje pytania:

1) Sienkiewicz, Gojawiczyńska, Kuncewiczowa, Kossak-Szczucka, Kiewnarska, Nowakowski, Wańkowicz, Nowaczyński, Makuszyński, Wiktor Zechenter i wielu jeszcze innych!

2) Owszem, ale ujęte powieściowo.

3) Nie, z uwagi na słabe oczy.

4) ?

5) Bzy, lewkonie, hiacynty, storczyki i mimozę — a w ogóle, to wszystkie!

Donieś mi proszę, kiedy chcesz przyjechać, bo mogło by się tak złożyć, że byłabym „wyjechana“ — żałowałybyśmy obie straconej okazji wzajemnego poznania.

Jesteś Kochanym Smykiem i pamiętam o Tobie zawsze. Pa!

Komunikaty.

„Banialuka“. Tak mocno jesteś zagniewana, Dziewczynko?

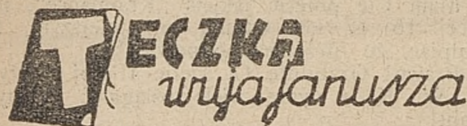
„Smutna Ślązaczka“ jest mi ogromnie sympatyczna! Przyjmij siostrzane uściski, Kochana.

„Niesforna Lulu“. Kochanie! Pani Wanda Jagienka Śliwina — z takim „pędziwiatrem“, jak ja, nie ma nic wspólnego. Pozdrawiam Cię!

„En—ka“. Nie rozumiem. Nikomu nie zalegam z odpowiedzią. (Zawsze odpowiadam na wszystkie listy). Ale jeżeli Ty (nie ja!) — chcesz się usprawiedliwić — to proszę bardzo — obiecuję pobłażliwość. Jesteś — A. R. — prawda? Adres: poste-restante, Poznań 5. (dla W. F. G.). Pozdrowienia!

Uwaga „Krainiacy“! Kto do mnie napisze? Jestem Poznanianką. Blondynka, niebieskie oczy, dość wysoka, szczupła, sportsmenka. Mam wiosnę w duszy... i 17 lat... Odpowiem na każdy list. Adres podałam wyżej w komunikatach dla „En-ka“. Pozdrawiam wszystkich miłych Wariatów, oj! przepraszam — chciałam powiedzieć studentów i chłopców w mundurach.

„Pell“. — Może się spotkamy na jakiej drodze, bo ja także rozbijam się motocyklem. Uśmiechy!“



„KSIĘŻYC I JA“

Z księżycem znamy się już czasu wiele,
I przyjaźń nasza jest szczera.
Z nim serca smutki i radości dzielę,
A on się śmieje, lub tęsknie spoziera...

Gdy lazur nieba gwiazdami usłany,
I żadna chmurka liczka mu nie cieni,
Wtedy wesoło mój umiłowany —
Darzy mnie blaskiem swych złotych promieni.

I prosi: Rozpleć swe jasne warkocze,
Dziś na przechadzkę pójdziemy we dwoje,
Ja cię ramieniem swym silnym otoczę.
Królestwo świata dziś twoje i moje...

Tak wędrujemy, nie licząc się z czasem,
Rapsodią nocy spowici — w ekstazie...
On górą, a ja polami i lasem,
Jakoby w mistrza wielkiego obrazie...

A jeśli czasem uciekam spać wcześnie,
Wtedy przez okno, jak czuły kochanek —
Wkrada się, pieszcząc mnie chociażby we śnie
I znika, zanim zajaśnieje ranek...

Irena Maria Wójcikowska.

LUBIĘ RADOŚĆ

„Zadzior“. Z niektórych wierszy Pana, no i tego kapitalnego rysuneczku na przedostatniej stronie, wynika, że nie zbywa Panu na humorze. To bardzo miły i pocieszający objaw! Lubię radość i to w wszelkich przejawach życia, nawet w wierszach moich „nadwornych poetów“!

Z piętnastu nadesłanych wierszy wybrałem do druku niżej wymienione: „Portrety“, „Czarodziejce w podzięce“ i „Hej, Kraino“!

Czy zdecyduje się Pan napisać nowelę? Radziłbym, ale na wesoło, bo ten ton najwięcej Panu odpowiada!

SIŁĄ FAKTU...

P. M. G. Sosnowiec. W chwili, gdy wiersze Pana dostały się do moich rąk — maj już był za siódmą górą i za siódmą rzeką“. Siłą faktu musiałem więc odłożyć „Majowe nabożeństwo“ do teczki, no a „Pastereczkę“ drukuję niżej. Pozdrawiam Pana!

PASTERECZKA

Brzmią w polu cudnej piosnki słówka,
To piosnka małej pastereczki,
Obok się pasie krasa krówka,
Druga znów pije wodę z rzeczki...

Zaledwie słonko wschodzi nisko,
Już skrapia kwiatki w swym ogrodzie
I rusza z krówkami na pastwisko.
Wraca przeważnie po zachodzie...

Dziś w butelce smaczne mleczko
I chleba kęs, co matuś dali;
Choć jest ubogą pastereczką,
Nigdy przed nikim się nie żali...

Zawsze z radością, uśmiechnięta
Słucha szczebiotań ptasząt małych,
Sukienkę w paski ma od święta,
No i fartuszek lniany, biały...

Choć praca często męczy srodze,
Kocha swą chatę, drogie strony...
A gdy spotyka kogoś w drodze —
Rzecze: „Niech będzie pochwalony!“

Mieczysław Grzegorski.

CHMURY...

Kłębią się — Polsko — nad Tobą chmury
— złowieszcze — choć wysoko.
Krwiożercze sępy ostrzą pazury,
Chcąc wpić w Twą pierś głęboko...

A Ty — spokojna, nieczuła prawie,
Pewna miłości Twojego ludu
Marzysz o złotych runach i sławie,
— Jakoby w przeddzień cudu...

Spójrz! Orzeł biały zatacza kręgi
Dumny, w królewskiej złotej koronie,
Jest symbolicznym duchem potęgi,
Gotów do walki — w Twojej obronie...

A Bóg? Wszak wierzysz Ojczyzno święta
W Jego wyroki i potęgę mocy.
Ten — który kocha Twoje pisklęta,
Głowę Twą glorią zwycięstwa otoczy...

„Irusia z Wołynia“.

PORTRETY

Czytam raz — drugi w „Krainie“,
o czym, pewno wiecie?
By „Ciocia“ z „Wujkiem“ w Żninie —
zabłyśli w gazecie.
„Wujek“ nie chce, „Ciocia“ kręci —
tak, a tak wywodzi,
obaj twierdzą, jak najęci,
że to się nie godzi.
„Naszych twarzy nie ujrzycie
odbitych w gazecie“...
A dla czego, bo widzicie,
powiem wam w sekrecie;
tylko „Krainianki“, proszę,
— język za zębami,
bo nie lubię i nie znoszę
mieć styczność z plotkami.
Otóż teraz posłuchajcie
wielkiego sekretu,
najpierw „Ciocię“ zapoznajcie
z mojego portretu:
Chuda, brzydka, piegowata,
taka bez urody,
w oczach trochę zezowata,
no i wiek nie młody.
„Ciocia“ robi kwaśną minę,
więc kropkę stawiamy,
no i „Wujka“ za łysinę
krytyką chwytamy:
Niski, gruby i pocieszny —
wiecznie roześmiany,
a paradny już i śmieszny,
gdy jest zagniewany.
Kiedy wiersze krytykuje,
Boże, co za mina!...
Lecz nad wszystkim tu góruje —
błyszcząca łysina!
Więc widzicie, moi mili,
portrety Ich mamy,
chyba żeby zaprzeczyli
swoimi zdjęciami!...

„Zadzior“.

OD ORTOGRAFII!...

„Samarytanka“. Wiersz — „I znowu przyjdzie taki dzień...“ — może stanowić tylko osobistą wartość, bo literacką — w żadnym wypadku. Przede wszystkim rażą w nim błędy ortograficzne: „znowósz“, „o nikiem“ itd. itd. Trzeba więc zacząć od ortografii, rozumie to Pani doskonale, prawda? Za pozdrowienia dziękuję i w pełni je odwzajemniam.

MYŚLĘ O TOBIE...

Gdy zmrok spowije w szary płaszcz ziemię,
Gdy cisza dźwięczy tysiącem ech,
I smutek-pielgrzym zawita do mnie —
Myślę o tobie... to chyba nie grzech?

Przymykam oczy i czuję cię przy mnie,
Słyszę twe słowa z dawniejszych dni znane,
Z ust się wyrywa szeptem twoje imię,
Imię ze wszystkich najbardziej kochane.

Od dnia rozstania nie znam radości uśmiechu,
Dnie i noce wypełnia tęsknota obłędna,
Spala się serce na popiół cierpieniem,
Bo żałość moja przepastna, bezdenna.

Gdy zmrok spowije w szary płaszcz ziemię,
Tak dobrze i słodko jest mi z twoim cieniem,
Chciałabym ciebie na zawsze zatrzymać,
Lecz to daremne — boś tylko wspomnieniem.

„Siboney“.

PROSZĘ O DALSZE WIERSZE!

„Rozmarzony Błękit“. Myśl szlachetna i ciekawa, jednakże trochę za dużo patosu i niepotrzebnych słów w rodzaju: „netto“, „wirażować“ itp. Proszę o dalsze wiersze!

ANIOŁ PAŃSKI

Słodką falą tonów gdzieś śpiewają dzwony,
Płynie dźwięk spiżowy sennymi polami...
Opadł szept modlitwy na ciche zagony,
Na łąki spowite pajęczymi mgłami —
Anioł pański...

Spracowany rolnik składa twarde dłonie,
Rozrzewnione oczy lśnią wzruszenia łzami,
Na zachodzie słońce żywym ogniem płonie,
A on patrząc w niebo powtarza ustami —
Anioł pański...

Zasłuchane brzózki u wioskowych chat
Kwieciem wiew pachnący w pieszczocie kołysze.
A nisko nad ziemią z dźwiękiem leci wiatr,
Dziwnym szumem szepcze, przerywając ciszę —
Anioł pański...

Coraz dalej... ciszej wiatr melodię niesie...
Coraz niżej ziemi drży spiżowe granie.
Już dawno umilkło drżące echo w lesie,
Tylko na zagonie człek orząc zostanie — szepcąc —
Anioł pański...

Już dawno umilkła przedwieczorna pieśń,
Już nic nie zakłóci uroczystej ciszy...
Mrok otulił ziemię — uspokoił myśl...
Tylko jeszcze dusza szept pacierzy słyszy —
Anioł pański...

Jan Józefowicz.

STARA JABŁOŃ

Niech jeszcze spocznę raz w twoim cieniu,
Stara jabłoni, wśród łąk zielonych.
Niech, nim odejdę, chociaż w wspomnieniu
Przeżyję szczęście tych chwil minionych,
Które tak pełne słoneczka były,
Że się na zawsze w sercu wyryły.

W twoich konarach, tak, jak na tronie,
Często w zadumie cichej siedziałam.
Wietrzyk gawędził w twojej koronie,
Co do mnie mówił — nie zapomniałam.
Mówił o sercach szczerych, płomiennych
I o uczuciach nigdy niezmiennych.

Pod twoich liści miłą osłoną
Najczarowniejsze sny moje śniłam.
Z tą chatką, wioską, łąką zieloną,
Gdzie tyle pięknych godzin przeżyłam,
I z tą ścieżyną w słońca promieniach —
Zostaniesz zawsze w moich wspomnieniach.

Aniela Wolna.

NIE TRZEBA

„Biały Wrzos“. Podobają mi się Pani wiersze, szczególnie ten o zakochanym księżycu. O tym, że będą wydrukowane — nie trzeba mówić, prawda?

W Queenstown wysiadł o godzinie 20.15 i natychmiast zatelefonował z automatu do urzędu śledczego, nie dowiedział się jednak nic nowego. Zamierzał już wmieszać się w grupę szoferów, rozprawiających z ożywieniem, gdy wtem spostrzegł na przystanku autobusowym znajomego gazeciarza, który nieraz — przed trzema laty — był mu pomocny w takich okolicznościach, gdzie obecność dorosłego człowieka mogła wydawać się podejrzana. 16-letni obecnie Fred Smith — tak się nazywał chłopiec — był niezwykle sprytny i przebiegły.

— „Times"! — krzyczał teraz. — „Daily Mail"! „Megaphone"! Bardzo cieka-a-we telegra-a-a-my! Czło-o-o-wiek — małpa pogro-o-o-mcą bandytów! Zagadkowe porwanie dwóch panien! Inspektor Thompson na tropie złoczyńców!

— Psiakrew, znowu dzienniki wszystko roztrąbiły... — mruknął inspektor z niezadowoleniem, idąc w stronę przystanku. Stanął naprzeciw pawilonu kwiaciarzy i skinął na chłopca. Gazeciarz przybiegł natychmiast, ożywiony nadzieją zarobku.

— Dajno, Fred, jaką ciekawą gazetę — rzekł z cicha inspektor, obserwując wrażenie ,jakie wywrze na chłopcu jego imię, wymówione przez obcego, nie wątpił bowiem, że zapomniał już o nim zupełnie. W jego wieku trzy lata musiały być niemal epoką. Jakoż gazeciarz patrzył nań, wytrzeszczywszy ze zdumieniem oczy.

Mr. Thompson ukradkiem położył palec na ustach i szepnął:

— Knock-out!

Było to ich hasło, umówione przed trzema laty.

Usłyszawszy je, gazeciarz podskoczył jak na sprężynie.

— Słucham, panie inspektorze — powiedział szeptem .

Mr. Thompson obszedł pawilon i usiadł na barierce, okalającej skwer. Smith stanął naprzeciw niego.

— Co słychać, Fred? — zagadnął przyjacielsko inspektor. — Nie wiesz przypadkiem, co robi Reusz ?

Chłopak szelmowsko zmrużył lewe oko.

— Zwędził samochód policji i wykradł z Burke'ami panny z Cork. Tak stoi w „Megaphone"...

— Wiedziałem o tym dużo wcześniej, niż „Megaphone", ty obwiesiu! Trochę szerzej otwórz gębę.

— Niech Pan Bóg na dzieciach wynagrodzi, panie inspektorze! Jakem jadł kolację na schodach pod zegarem, to szofer „7101" opowiadał „7157", że odwoził z podmiejskiej szosy troje ludzi, którzy mieli katastrofę samochodową. Mówił, że kobieta była zemdlona, ale cała, dwaj mocno krwawili, a jeden zupełny trup. Reussa poznał, choć był wycudaczony za innego, na ten przykład — jak pan inspektor. Mówił także, żeby pary z gęby nie puszczać, jak się policja będzie pytać, bo Reuss porządny chłop, że to niby godnie płaci...

— Gdzie ich odwiózł?

— Do Magdy Malcomme, na London Street.

— Nic więcej nie wiesz?

— Żebym tak trupem padł!

— No, to rypaj do Malcomme'owej przewąchać dokąd pojechali — od niej. Jak się dobrze spiszesz, dostaniesz jeszcze jednego szylinga.

— Bóg zapłać, panie inspektorze! Duchem lecę!

— Ten chłopak jest nieoceniony! — mruknął inspektor, z zadowoleniem zacierając ręce. — Ale niemniej większość konfidentów nie warta funta kłaków, to fakt.

Fred nie pozwolił długo na siebie czekać. Po niespełna dwudziestu minutach stanął przed mr. Thompson'em.

— Zarobiłem szylinga ,panie inspektorze! — szepnął triumfalnie. — Wiem wszystko!

— Gadaj! Masz tu pieniądze.

— U Malcomme'owej siedzieli wszystkiego pięć minut. Zaraz zajechał po nich samochód bez numeru i odwiózł ich z powrotem do Cork, na Portugal Street, do starego.

— Do jakiego „starego"?

— Pan inspektor nie wie? Mieszka tam taki stary facet, któremu Reuss często wozi panny. Ma własny dom, bardzo już zniszczony. Łatwo go odszukać, bo stoi w wielkim ogrodzie.

— Dobrze się spisałeś. Ale, słuchaj-no, kto ci to powiedział?

— A, bo to, panie inspektorze, syn Malcomme'owej, to mój kompan. Siedział jak zwykle w kuchni i słyszał, że Reuss mówił do Burke'a: „Jak dziewkę odwieziemy staremu, to będzie trochę spokoju, bo ten przeklęty Thompson na pewno depce nam już po piętach. My znikniemy, a tamtych niech już Claude obrobi, jeśli zechce..."

— Nie blagujesz?

— Jak rany poważam!

— A skąd wiesz, że „stary" mieszka na Portugal Street w Cork?

— Jim od Malcomme'owej już dawno opowiedział mi o nim.

— A kto to jest ten Claude, co ma „tamtych obrobić"?

— Żeby nie zełgać, to powiem: nie wiem, ale coś mi się widzi, że to będzie Claude Gammen, co lubi „na mokro"..

— Acha, niby nożem pod żebro, co?

— A niby.

— No, masz tu jeszcze szylinga, boś się wyjątkowo dobrze spisał. A gdzie sypiasz teraz, żeby cię można było znaleźć?

— Phi, raz pod rampą u Ossenheima, raz w przytułku na Bond Street, ale teraz już tam nie chodzę: zimno. Będę sypiał w skrzyni u klozetmajstra na stacji omnibusów.

— Dobrze, bądź zdrów!

— Powodzenia, panie inspektorze!

W ciszy wieczoru rozległ się znowu jego chłopięcy głos:

— „Megaphone"! Inspektor Thompson tropi groźnych bandytów!

XV.

ZAGADKOWA WILLA

— Szelma chłopak! — mruknął inspektor, spiesznym krokiem podążając do urzędu śledczego. — Ale któż zaprzeczy, że nie czułem, że wkrótce zetknę się z drem Semmlerem?...

W biurze policji zastał zaledwie kilku detektywów, reszta bowiem zajęta była bezskutecznym tropieniem Reussa i Żareckiego.

— Jest komisarz? — zagadnął mr. Thompson dyżurnego, pokazując mu swoją legitymację.

— Już wszyscy oficerowie wyszli, Sir — odparł policjant, udając spokój, choć metamorfoza inspektora wywarła na nim duże wrażenie.

— A podinspektor Stovee?

— Jest, Sir, siedzi w kancelarii i przegląda akta.

Jakoż istotnie stary policjant zagłębiony był w kartach karalności kilku przestępców.

— No, i co? — zapytał, ściskając serdecznie dłoń mr. Thompson'a. — Znowu polowanko? Macie już coś w ręku?

— Mam, ale ponieważ choruję w tej chwili na brak czasu, powiedzcie mi przede wszystkim, kto to jest Claude Gammen, bo jeszcze — jak dotąd — nie miałem przyjemności....

— Nic dziwnego: wtedy, gdy on grasował, was nie było jeszcze na naszych wysepkach. Stary morderca, wielokrotnie karany. Dopiero wczoraj wrócił z Dartmoor. Przesiedział 15 lat za zabójstwo policjanta i dwóch przechodniów, którzy chcieli go schwytać. Mamy go na oku. Ale cóż, u diabła, Claude może mieć wspólnego z porwaniem missis O'Sourke?

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Absolwentki kursów sanitarnych w Warszawie otrzymały w obecności p. Marszałkowej Piłsudskiej (przy stole prez. po prawej) i gen. Osińskiego świadectwa ukończenia kursów.

MARIA HEMPEL-GIERDAWA

14)

Wariatka

Po kilku kilometrach trafiła na sporą wieś. Przechodziła właśnie koło kościoła. Była niedziela. Iga niezmiernie lubiła wiejskie kościoły i nabożeństwa w nich. Wyczuwała tam zawsze atmosferę modlitwy, głębokiej wiary i prostoty. W mieście było zawsze coś przede wszystkim z ceremonii, z formy, coś zewnętrznego co zabiło istotną treść.

Teraz więc chętnie i z przyjemnością weszła do już dość natłoczonego kościoła. Niedaleko głównego ołtarza usiadła na schodkach bocznej kapliczki. Siedziała na wprost kazalnicy.

Czuła się niezmiernie dobrze, wśród tych ludzi o opalonych twarzach, których zgromadziła tu naiwna — a więc najcenniejsza — czysta, prawdziwa wiara. Ich śpiew, przeplatany czasem zwyczajnym fałszem, szedł prosto do Boga; gdy walili się silnymi pięściami w piersi, naprawdę kajali się przed Ojcem za swoje winy. Nie było tu ceremonii, formy, pozy — była tylko prostota.

W pewnej chwili ukazał się na kazalnicy ksiądz. Młody jeszcze człowiek, niedużego wzrostu, o szczupłej pociągłej twarzy z płowymi dokoła niej włosami. Przeczytał ustęp z Ewangelii, a potem zaczął naukę. Iga słuchała uważnie. Nie straciła ani jednego słowa. Mówił o miłości bliźniego. Bez efektów krasomówczych, prostymi zrozumiałymi słowami trafiał do serc. Nie było to kazanie nauczone, ale natchnione prawdziwym i głębokim ukochaniem nauki Chrystusowej.

Idze przypomniało się, jak kiedyś, dawno, zaraz po skończeniu szkoły, zdarzyło się, że będąc w Krakowie, poszła ze swą przyjaciółką protestantką do protestanckiego kościoła na spowiedź. Chciała zobaczyć jak to się odbywa. Pastor zaczął rachunek sumienia od słów: „To jest przykazanie moje, abyście się wzajemnie miłowali". Potem jasno i zwięźle wykazał jak dalece każdy grzech wynika z braku miłości bliźniego. Następnie w tym duchu przeszedł wszystkie dziesięć przykazań. Iga naukę tę na całe życie wpisaną miała w pamięci i sercu, jak również postać pastora, który w całym swym życiu, był zawsze prawdziwym chrześcijaninem; niejednokrotnie dużo jeszcze o nim słyszała.

Teraz tutaj, ten kapłan katolicki, kazaniem swoimi był na tym samym wysokim prawdziwie chrześcijańskim poziomie. Ci dwaj ludzie byli z tej samej gliny: łączyła ich ta sama wielka idea, a formalna na papierze przynależność do różnych odłamów religii chrześcijańskiej była przypadkiem — nie odgrywała żadnej roli.

Po skończonym kazaniu, proboszcz odezwał się w te słowa do zebranych:

— Teraz muszę wam powiedzieć coś bardzo dla mnie smutnego i bolesnego. Pierwszego dnia kiedy tu, do tej parafii przyjechałem, a było to osiem lat temu, powiedziałem wam, że drzwi mego domu w dzień i w nocy są zawsze otwarte, aby każdy, kto z was mnie będzie potrzebował, mógł do mnie przyjść. I było tak. Ale oto wczoraj, pierwszy raz, zdarzyło się, że pozostawiony w sieni do wytrzepania mój krótki kożuszek — zginął. Nieuczciwa ręka jednego z was skorzystała, że drzwi są zawsze otwarte i dopuściła się kradzieży. Ten z was, kto to zrobił, uczynił mi wielką krzywdę. Nie chodzi o kożuszek. Chodzi o to, że nadużył moich otwartych dla was drzwi. Skoro zaś po tylu latach pracy mojej z wami, mógł wśród was znaleźć się taki, który dopuścił się takiego czynu — może to moja wina: może za mało nad wami pracuję. Będę więc prosił Boga, by mu ten grzech odpuścił, a ja już moją krzywdę z serca mu daruję. Jeśli jesteś tu wśród zebranych wiernych, proszę cię, bracie mój, z całej duszy: nie czyń tego więcej. A teraz zmówmy razem na intencję jego poprawy Ojcze nasz i Zdrowaś.

Iga uklękła i razem ze wszystkimi w nabożnym skupieniu zmówiła modlitwę.

Ciotka Felicja, jako suflerka, nie była tu potrzebna.

Po wyjściu z kościoła udała się wprost na plebanię. Plebania tonęła w kwiatach. Drzwi były otwarte. Weszła jak do swojego domu.

Ksiądz Jaczewski właśnie zasiadł do śniadania. Iga przedstawiła mu się, powiedziała jakim sposobem tutaj się znalazła i jak prosto do duszy trafiły jej słowa słyszane z kazalnicy.

— Jeżeli ksiądz proboszcz pozwoli — rzekła na zakończenie — byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym mogła tu pozostać chociaż jeden dzień.

— Ależ droga pani! — zawołał serdecznie — gość w dom, Bóg w dom! Ile dni pani zechce, tyle proszę korzystać z mego skromnego domu. A teraz proszę na śniadanie. Ale wybaczy pani, że nie będę miał dużo dla niej czasu. Moi parafianie potrzebują mnie ciągle — a ja tu jestem dla nich przede wszystkim.

Iga z pewnym wzruszeniem zasiadła przy stole, skromnie a czyściutko nakrytym. Wielki bukiet złocistych nagietków był jego jedyną ozdobą.

Kawa i chleb, wiejski chleb z masłem były znakomite. Iga była głodna jak wilk, ale nie przeszkadzało jej to przyglądać się proboszczowi. Ksiądz Jaczewski miał szare oczy, niezmiernie mądre, głęboko patrzące; ale to co było najbardziej w nich uderzającego to bezbrzeżna łagodność ich wyrazu i dziwny wewnętrzny blask, który je rozświetlał.

„Takie oczy musieli mieć pierwsi chrześcijanie" — pomyślała Iga.

Ksiądz Jaczewski bardzo zainteresował się Igi sposobem spędzania urlopu. Pytał o stolicę, o ludzi, z którymi miała do czynienia. W trakcie tego karmił latającego swobodnie oswojonego szpaka, który bez ceremonii siadał księdzu na ramiona i wielkimi krokami spacerował po stole. Po podłodze zaś włóczyła się stara wrona ze złamanym skrzydłem, sadowiła się blisko krzesła księdza i czekała na jedzenie.

Nie było czasu na długą pogawędkę: proboszcz ledwo skończył śniadanie, przeprosił Igę i udał się znów do kościoła, gdyż czekała tam młoda para na ceremonię ślubną.

Iga zostawszy sama, ciekawie rozglądała się po mieszkaniu. Przez oszklone szyby biblioteczki ujrzała wiele znajomych tytułów gruntownie przestudiowanych przez nią dzieł. W sąsiednim pokoju, który wyglądał na rodzaj świetlicy, znalazła drugą szafę pełną książek: te były najwidoczniej przeznaczone do czytania dla parafian. Na stole leżało parę pism, między nimi i rolnicze. W rogu pokoju znajdowało się radio z głośnikiem. Wzdłuż ścian stały



Córeczka — jak widać na powyższym zdjęciu — nie zdołała się jeszcze przyzwyczaić do matki, sprawującej swą pracę w oplg. w stalowym hełmie na głowie.



Statek St. Louis wyładował w Antwerpii 907 żydów-uciekinierów z Niemiec. Z Antwerpii żydzi rozjadą się dalej.

długie ławki. W jednym z okien był umieszczony ul w ten sposób, że cały znajdował się na zewnątrz i tak jak gdyby był przyklejony do szyby okna. Szyba tworzyła jedną jego ścianę i widać przez nią było całe wnętrze ula. Prześlicznie wyglądały miodowe plastry i praca jaka się tam odbywała. Iga z zachwytem przyglądała się uwijającym się przy robocie pszczołom.

Wkrótce proboszcz wrócił z kościoła. Zaraz też za nim śmiało i swobodnie weszło parę chłopów starszych i młodych parobków — do świetlicy. Ksiądz proboszcz otworzył radio, rozmawiał z gospodarzami o tym i owym, wydawał książki, starannie zapisując je w zeszycie.

Iga patrzała na to wszystko ze szczerym zachwytem: nastrój swobodnie przyjacielski, jaki tu panował, świadczył od razu i wymownie czym jest ten proboszcz dla swoich parafian.

Ksiądz Jaczewski spędził w świetlicy ze dwie godziny, po czym poprosił Igę na obiad i przeszli do stołowego pokoju. Tymczasem w świetlicy wchodzono i wychodzono, rozmawiano o polityce, czytano gazety, słuchano radia.

Taki już był widocznie ustalony program na niedzielę, który, jak było widać z zachowania się ludzi, dobrze wszedł już im w zwyczaj.

— Czy prędko ksiądz pobroszcz doszedł do tego? — zapytała Iga wskazując na świetlicę.

— Tak, prędzej niż sam się spodziewałem. Już po pół roku zaczęli swobodnie do mego domu przychodzić.

Obiad, tak samo jak śniadanie, musiała Iga kończyć sama, bo ledwie usiedli do stołu, okazało się, że przysłano po księdza do chorego. Zanim założono konia do bryczki, proboszcz zjadł pospiesznie cośkolwiek, przeprosił Igę, tak jak rano — i pojechał. Chory znajdował się w sąsiedniej wsi, położonej o 4 kilometry. Najdalej za godzinę proboszcz powinien był być z powrotem.

Iga po obiedzie napisała długi list do Romana. Wiele, wiele wrażeń nazbierało się już do opowiadania. Pisała długo. Gdy spojrzała na zegarek była czwarta. Proboszcz jeszcze nie wrócił. Tymczasem pogoda popsuła się, mżył deszczyk.

— Od południa zaczął — rzekła stara gosposia — to już będzie trzydniówka, ani chybił.

„Smutno dla mnie — pomyślała Iga — bo iść w niepogodę nieprzyjemnie".

Stanęła w oknie i zamyśliła się o tej dziwnej promiennej oazie, w której się znajdowała.

„Oto jest prawdziwy chrześcijanin, prawdziwy pasterz dusz... Ten chyba kocha bliźniego więcej niż siebie samego..." — myślała.

I raptem ujrzała przez zapłakaną deszczem szybę proboszcza, który przemoknięty wracał do domu piechotą.

Iga pobiegła do drzwi.

— Cóż to się stało, że ksiądz proboszcz wraca piechotą w ten deszcz?... A koń, a bryczka?

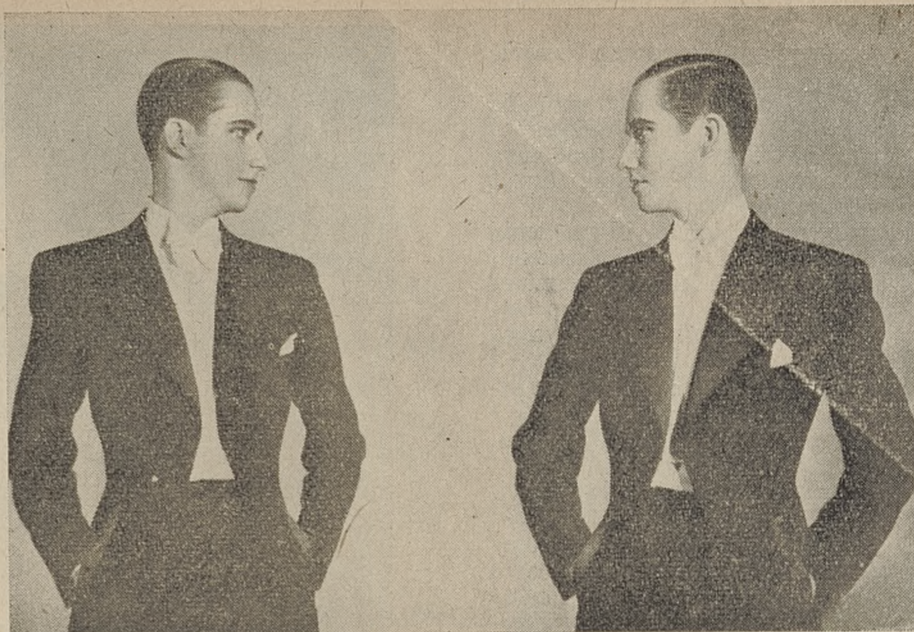
— At, proszę pani... chłopina chory, ale nie wydało mi się, aby z nim już tak źle miało być. Pomyślałem sobie, że tam doktór może jeszcze coś poradzić... A przecie dzieci małe w domu są i morga ziemi do obróbki... Kazałem, moją bryczkę posłać zaraz po doktora. Może Bóg da, że się uratuje biedaka.

— I pewno ksiądz proboszcz zostawił parę złotych na doktora...

Strzepnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „to głupstwo" i powiedział:

— Bieda tam u nich, bieda...*)

*) Nazwisko proboszcza i fakt wyżej opisany — autentyczne.



„Unger Twins" — dwaj bracia bliźniacy pod taką nazwą utworzyli duet artystyczny. Pochodzą ze Szwecji i występują w Paryżu. Liczą 19 lat i tańczą, śpiewają i grają na dwóch fortepianach.

— Święty z księdza człowiek — wyszeptała Iga ze wzruszeniem.

Ksiądz się roześmiał i rzekł z prostotą: Oj, nie święty, nie święty! taki jak inni — człowiek grzeszny. Daleko mi do świętości.

Idze przypomniał się Obłocki, który z lubością powtarzał jak to jego spowiednik nazywał go świętym...

— Pobiegnę do gosposi, aby zaraz zrobiła gorącej herbaty. Ksiądz proboszcz taki przemoczony i pewno zmarznięty, bo bardzo się ochłodziło.

— Dziękuję, dziękuję. Umie pani myśleć o innych — to mnie cieszy, to bardzo mnie cieszy, bo to w życiu najważniejsze.

I poszedł do swego pokoju. Gosposia tymczasem szykowała mu herbatę i jednocześnie suszyła żelazkiem przemoczoną sutannę, jedyną jaką proboszcz posiadał.

— Złote serce, ale co ja mam z nim za utrapienie. — gderała przed Igą, która pomagała jej jak umiała. — Rozchoruje się to kiedy i jeszcze umrze. Grosza jednego dla siebie nie ma! Już nie mogę nastarczyć z łataniem i cerowaniem. A jak mówię, żeby sobie już co kupił przecie, to ogląda, ogląda, a po tym powiada: jeszcze dobre gosposiu, jeszcze dobre, po co mi nowe. Wszystko wszystkim odda, a dla siebie nie ma nic. Piekła za mało — zawołała raptem z ogniem oburzenia na twarzy — dla tego złodzieja bez sumienia, co tę kożuszynę nędzną ukradł!

— Wstydźcie się, gosposiu — dał się słyszeć głos proboszcza przez lekko uchylone drzwi. — Ja mu wybaczyłem, a wy mu piekła życzycie. Nie macie Boga w sercu!

Gosposia ruchem desperackim rozłożyła ręce i szepnęła do Igi:

— No widzi, paniusia, widzi. On taki jest. Jeszcze takiego zbereźnika będzie bronił.

— Kochają go tu pewno ludzie? — zapytała Iga.

— Oj paniusiu. Posiekać by się dali za niego! Chyba jak świat duży nie ma takiego drugiego.

— Dajcie, gosposiu, żelazko. Ja będę teraz prasować, a wy idźcie zanieść herbatę prędziutko.

Po chwili gosposia wróciła i chciała wziąć się do pozostawionej Idze roboty. Ale Iga zaprotestowała:

— Nie, nie. Zostawcie. Skończę to prasowanie. Wyście się zmęczyli, ja mam młodsze ręce. Takiemu człowiekowi usłużyć, to dla mnie przyjemność.

— Paniusia to by pasowała do naszej parafii — zażartowała gosposia z życzliwym uśmiechem. — Polecę zobaczyć, czy się do przedpokoju nie leje przez drzwi, bo tak nieraz bywa.

Ledwo wyszła, rozległo się jej głośne wołanie, w którem drżała pewna nuta strachu:

— Jezus Mario! Jezus Mario! To chyba cud ci się stał, chyba cud!

Iga odstawiła żelazko i pobiegła do stołowego pokoju. Natknęła się tam na gosposię, która spieszyła do pokoju księdza z kożuszkiem w rękach. Wpadła tam jak bomba, zostawiając za sobą drzwi otwarte. Iga usłyszała głos proboszcza pełen szczerej radości:

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki! Bogu najwyższemu niech będą dzięki! No, a teraz co? Nie wstyd wam?! Komuście to piekła życzyli, co? To będzie teraz najwierniejszy ze wszystkich moich parafian! A wy, gosposiu, za pokutę przez trzy dni warzyć będziecie na obiad kapustę z grochem, bo tego nie lubicie. Całe trzy dni!

Iga była oszołomiona wszystkim, co tu napotkała. Obawiała się, że może to tylko sen, bo zbyt piękne, zbyt wzniosłe i idealne jest, jak na rzeczywistość.

A jednak to była rzeczywistość.

I znowu Iga nie miała czasu na pogawędkę z księdzem Jaczewskim. Ledwo sutanna została wysuszona — udał się na nieszpory. Po nieszporach krótki podwieczorek i ksiądz zabrał się do „obrządzania" pszczół. Iga przyglądała się jego pracy z zaciekawieniem, a z jeszcze większym zaciekawieniem słuchała tego, co jej opowiadał ze swoich obserwacyj czynionych nad ich życiem.

Robota ta zajęła mu sporo czasu. Potem zaś przeprosił Igę, ale: „muszę pójść na weselisko dzisiejszej młodej pary, bo to widzi pani, człowiek jest słabym stworzeniem... rozhula się, zapomni, za dużo wypije, potem bijatyka nieprzystojna, krzywda bliźniego i obraza Boska... Zawsze jak ja tam jestem i z nimi się bawię — to nigdy nie dojdzie do niepotrzebnych rzeczy. A ja wesoły człowiek jestem, nie popsuję zabawy, wiedzą o tym i chętnie mnie widzą między sobą. Jeżeli pani u nas miło, bardzo proszę pozostać z nami jak najdłużej, a w każdym razie póki pogoda się nie poprawi nie wypuścimy pani.

— Bardzo dziękuję. A czy nie mogła-

bym pójść teraz z księdzem proboszczem?

— Najchętniej. Naturalnie.

Było już dosyć późno, kiedy wrócili na plebanię.

Iga zastała czyściutkie świeże posłanie przygotowane dla niej w „świetlicy" i wkrótce udała się na spoczynek. Proboszcz swoim zwyczajem długo jeszcze czytał przed zgaszeniem światła.

Iga pomimo wielu wrażeń i zmęczenia nieprędko usnęła. Była pełna entuzjazmu dla świetlanej postaci księdza Jaczewskiego, pełna czci dla jego pracy, jego samozaparcia. Zdumiona była i zachwycona stosunkiem przyjacielskim, swobodnym, a nie pozbawionym wielkiego uszanowania parafian do swego proboszcza.

Ksiądz Jaczewski był prawdziwym „dobrym pasterzem".

— O, gdyby takich ludzi było więcej, jakiż świat byłby inny! Gdzież jest drugie zgromadzenie ludzi tak uszlachetnionych jak tutaj! Ileż ten „dobry" proboszcz potrafił z nich wykrzesać! — konkludowała Iga w myślach, reasumując to wszystko, co widziała tutaj i przeżyła.

Drugiego i trzeciego dnia mało widziała proboszcza. Był we wsi. Musiał zajrzeć do tych chat, o których wiedział — a wiedział wszystko, co się dzieje — że tam jest choroba, zmartwienie, czy nieszczęście. Po wczesnym zaś obiedzie jechał bryczką do sąsiednich wsi.

Gospodsia objaśniła Igę, że do ich parafii należy oprócz tej wsi, jeszcze pięć innych. Codziennie bez względu na pogodę proboszcz odwiedzał każdą wieś po kolei. Jak twierdził, musiał znać życie, troski i radości wszystkich swoich parafian. Wieczorami po kolacji pracował nad sobą samym, czytając wiele poważnych dzieł z zakresu religii, filozofii, historii.

Trzeciego dnia, a był to już wtorek, ksiądz Jaczewski wróciwszy z objazdu, udał się po kolacji do karczmy.

— Dzisiaj jest dzień jarmarczny — rzekł do Igi — ludziska lubią schodzić się do karczmy... Muszę i ja tam do nich zaglądać. Pogadamy o polityce, o gospodarstwie, o tym i owym, pożartujemy, i tak jakoś nigdy u nas nie ma karczemnych pijatyk i bijatyk. Pani się to może dziwnym wydaje, że ksiądz idzie do karczmy. Ale wszystko to są moje dzieci, ja jestem za nie odpowiedzialny, ja muszę z nimi żyć, muszę być wszędzie, żeby im dopomóc, aby nie ulegali złym skłonnościom,



Dr. Kazimierz Papée b. komisarz Generalny R. P. w Gdańsku i poseł R. P. w Pradze mianowany został ambasadorem R. P. przy Watykanie.



Można czasem i w kąpieli zaglądnąć w czarno-magiczne tajniki kabały.

aby uchronić od złego, doradzić dobre... Matka też idzie wszędzie za swoim dzieckiem, nie zostawia go bez opieki.

Włożył słomiany kapelusz na głowę, wziął laskę w rękę i poszedł.

W środę rano wstało jasne słońce na czystym niebie. Świat wykąpany długim deszczem, odświeżony chłodem, przesycony był teraz zapachem traw, kwiatów i parującej ziemi.

Iga z żalem rozstawała się z plebanią która była niby wielkie serce promieniujące dokoła najczystszą Chrystusową miłością bliźniego. Dziękowała księdzu Jaczewskiemu za gościnę, a przede wszystkim za to, że:

— Uwierzyłam, iż moje marzenia o idealnym chrystianizmie na świecie nie są utopią, uwierzyłam, widząc życie i pracę księdza proboszcza — prawdziwego nauczyciela Ewangelii — że przyjdzie czas, kiedy chrystianizm zwycięży i zapanuje nad światem. Za to, że w to, tutaj, mogłam uwierzyć dziękuję sercem całym i duszą całą. I jednocześnie proszę, żeby ksiądz proboszcz zechciał mnie traktować jako swoją duchową parafiankę, pozwolił napisać do siebie i zechciał odpowiedzieć. Nigdy nie chciałabym stracić kontaktu z księdzem proboszczem.

— Ależ naturalnie .Zresztą od razu zorientowałem się, że pani jest z „naszej owczarni" .Zawsze z radością pani list powitam! i zawsze chętnie i z przyjemnością odpiszę. Zawsze jestem dla tych, którzy mnie potrzebują.

— Dziękuję z serca. Na przyszły rok zajrzę tu znowu. A teraz jeszcze pozwolę sobie na ręce księdza proboszcza złożyć skromną sumę 20 złotych na cel, który ksiądz proboszcz uzna w swej parafii za najpotrzebniejszy.

— Dziękuję w imieniu moich parafian. Niech Bóg stokrotnie zwróci pani tę ofiarę.

Iga wyruszyła dalej w swoją urlopową wędrówkę, rozpromieniona wewnętrznie równie jasno, jak wiszące nad nią błękitne niebo, pełne złocistego słońca.

W Kielcach udała się na pocztę, gdzie czekał na nią, adresowany na poste-restante list od Romana. Był długi, miły, serdeczny. Iga poświęciła więcej niż godzinę czasu na odpowiedź. Wypowiedziała cały swój entuzjazm dla księdza Jaczewskiego i jego nadzwyczajnej parafii.

A po tym między innymi pisała: „Twoje niepokoje o moje bezpieczeństwo w czasie samotnej wędrówki, jak dotąd, okazują się płonne. Spotykam na swej drodze tylko dobrych ludzi i jestem pewna, że będzie tak do końca. Co do mnie zaś, to uważam, że przebywając ciągle wśród przyrody — i to na cztery oczy z nią! — staję się lepsza i szlachetniejsza. W miastach muszą być ludzie gorsi niż na wsi: tam nic biedacy nie mają tam wspólnego z naturą!"

W Łagowie zastała znowu kartę od Romana, to samo w Nowej Słupi, Była mile tym zaskoczona, bo Roman na ogół był dość ciężki do korespondencji. Nie bardzo umiała sobie wytłumaczyć to zjawisko — i nie wiadomo dlaczego, przyszła jej raptem smutna refleksja: „a może to początek końca mojej uroczej sielanki życiowej... na pożegnanie przed rozstaniem, aby dobre zostało wspomnienie — aż tyle pamięci, aż tyle serdeczności..."

Czy było to przeczucie?

Szła teraz grzbietem gór Świętokrzyskich, Przy pomocy szczegółowej mapy i słońca orientowała się znakomicie. Ani razu nie zabłądziła. Kierowała się na Św. Krzyż — do św. Katarzyny. Szła niemarudnie, aby przed zmrokiem zdążyć do klasztoru św. Katarzyny. Bała się być zaskoczoną w górach przez noc. Przez całą swoją wędrówkę nie miała ani chwili lęku. Ale teraz, tutaj, nie była tak pewna siebie, jak dotychczas. Nie był to wyraźny lęk. Iga była odważna. Ale jakiś nieuchwytny, nieskrystalizowany w świadomości niepokój czynił ją roztargnioną. Nie miała w sobie tego skupienia przepojonego wielkim spokojem, który szedł do niej od otaczającej ją przyrody. Podświadomie, to przejście przez łańcuch górski, na które najbardziej cieszyła się, projektując wyprawę — chciałaby mieć już poza sobą.

Przy św. Krzyżu nie zatrzymywała się. Świadomość, że kryje on w swych ponurych murach bezmiar ludzkiego bólu i moralnej nędzy, kazała jej to miejsce minąć szybko.

Przecie tu nic poradzić nie mogła!

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

RAJ KOBIET

Paryż pod znakiem bieli - Ameryka woli groszek

Paryż lansuje biel, a nawet na wieczór letni zupełnie białe suknie, najwyżej w połączeniu z czarną koronką. Bardzo chętnie i często nosi Paryżanka biały żakiecik do każdej bez wyjątku sukni. Biały pantofelek, biała torba i kapelusz stanowią piękny komplet z każdą kolorową czy wzorzystą sukienką. Ale jedno małe zastrzeżenie. Biały strój z białymi dodatkami, który stanowi w tym sezonie ostatnie słowo Paryża, nie do każdej karnacji się nadaje. Biały kolor bardzo jaskrawie uwydatnia matowość cery brunetek i delikatną karnację blondynek, ale dla osób o zbyt jaskrawej karnacji jest niedopuszczalny. Biały kolor wymaga ponadto specjalnego rodzaju maquillage'u i bardzo dokładnej i starannej fryzury.

Natomiast Ameryka wydała nakaz ubierania się kolorowo. O białym kolorze w Ameryce nikt nie chce słyszeć, jeżeli już coś bardzo jasnego, to odcień kremowy, szampański. W Nowym Jorku górują jednak taillery z flaneli lub płótna w kolorach: różowym, mauve, poziomkowym, we wszystkich kolorach pięknego groszku, a co najmodniejsze — to kolor zielonego groszku. Co do tematu groszku łuskanego, to jest on modny nie tylko jako kolor, ale również jako moment dekoracyjny, na każdym tle materiału, bez różnicy na jego kolor, widzimy rzucik w seledynowy groszek. Nawet nie tylko suknie, ale kapelusze, torebki, rękawiczki, chusteczki — wszystko w seledynowe groszki. Plaże amerykańskie roją się od kostiumów w groszki. Dancingi mienią się różową organdyną w zielone groszki, tarasy kawiarni, deptaki parków, korty sportowe — wszędzie wesoło i kolorowo, a nade wszystko... groszkowo!

Suknie do kolan, plisowane spódniczki, cienkie talie, całe morze falban i falbanek, powiewające aksamitki, loki na karku, to wszystko styl... młodości.

Paryż ze sympatii dla wszystkiego, co jest białe, lansuje bolerka gronostajowe, Nowy Jork natomiast proponuje bolerka z pysznych srebrnych lisów. Najwidoczniej Ameryka nie liczy się z postulatami mody europejskiej, która opowiedziała się za zmierzchem lisów, szczególnie lisów srebrnych. Kto wie, czy Europa przejmie się hasłami, głoszonymi przez Amerykę, do tego stopnia, że cofnie zakaz noszenia lisów i wróci do dziwacznych farbowanych na różowo, zielono i czerwono lisów, od których roją się szyby wystawowe Nowego Jorku.



Skwarne południe w Tyrolu

RZECZY CIEKAWE Z ŻYCIA KOBIET

Maszynistki cierpią na oczy

W New Yorku dokonano skrupulatnych badań nad zdrowotnością maszynistek. Badania wykazały, iż pisanie na maszynie, mimo pozornej prostoty tej czynności, jest pracą b. wyczerpującą. Na 100 maszynistek na skrzywienie kręgosłupa cierpi 15, na oczy — 41, na migrenę 76 na płuca 23, na zaburzenie krwi obiegu — 19-cie.

Ustalono, że głównym źródłem chorób maszynistek jest niedostateczne lub wadliwe oświetlenie maszyny i rękopisu, jak również niewygodna pozycja przy przepisywaniu.

Kobiety Australii

W Australii ogłoszono ustawę według której obywatelka australijska wychodząca za mąż za cudzoziemca, zatrzymać może swoje obywatelstwo tak długo, jak długo zamieszkuje w Australii.

Turczynki górą

Na uniwersytecie w Genewie promowała się niedawno młoda Turczynka, Refia Ugurel, wziąwszy sobie za temat do pracy doktorskiej zagadnienie wychowania kobiety tureckiej. — Jeden z członków rządu szwajcarskiego wskazał przy tej okazji na zdumiewający fakt, iż Turczynki, tak niedawno jeszcze wiodące żywot niewolniczy w haremach, wyprzedziły już znacznie pod względem emancypacji „wolne" Szwajcarki...

Kir żałobny w wyprawie ślubnej

W skład wyprawy ślubnej, jaką od wczesnych lat zbiera każda młoda Japonka, wchodzi kir żałobny, którym po raz pierwszy okrywa się Japonka w dzień swego ślubu, a drugi raz służy on jej za całun pośmiertny.

Kobiety w Kanadzie

W Quebec, w Kanadzie, kobiety nie zdobyły dotąd jeszcze prawa wyborczego, gdyż także i ostatnie głosowanie w tej sprawie zapadło na ich niekorzyść (49 głosów przeciw 21). Quebec jest jedyną prowincją kanadyjską, w której kobiety nie posiadają prawa głosowania.

Dziewczynka naczelnikiem stacji

Miejscowość Sho w Japonii sławną jest z tego, iż naczelnikiem stacji jest tam dziewczynka, licząca zaledwie 14-cie lat. Jest ona niechybnie najmłodszym ze wszystkich naczelników stacyj na świecie. 14-letnia Japonka musi czuwać nad zapewnieniem prawidłowego ruchu 30-tu pociągów, które dziennie przechodzą przez stację w Sho.

Kobiety węgierskie pionierkami feminizmu

Dotychczas uważano powszechnie Angielki za kobiety, które pierwsze rzuciły hasło walki o prawa dla kobiet.

Tymczasem okazuje się, że palma pierwszeństwa przysługuje Węgierkom.

Węgry, kraj pieśni i tańca miał także grono feministek i ich związek należy bodaj do najstarszego tego rodzaju stowarzyszenia, gdyż w roku 1940 obchodzić będzie rocznicę 150-lecia istnienia.



W lipcowym słońcu.
Fot. H. Chodnikiewiczowa — Miechów.

W roku 1790 wpłynął do sejmu w Preszburgu (Bratysławie) wniosek węgierskich feministek, w którym kobiety domagały się kategorycznie „swobód w systemie nauczania" i zezwolenia na „dowolny wybór zawodu".

Jak się obecnie okazuje, Angielki rozpoczęły swą działalność feministyczną o całe dwa lata później.

CZY WIECIE, ŻE..

W Poznaniu stanie kościół akademicki. W najbliższym czasie rozpoczęta zostanie w Poznaniu budowa kościoła akademickiego. Kościół wybudowany zostanie staraniem OO. Dominikanów, którym powierzono duszpasterstwo nad młodzieżą akademicką w Poznaniu.

Polak został mianowany senatorem rumuńskim. Zgodnie z konstytucją oraz nową ordynacją wyborczą, król Karol mianował 88 senatorów. W liczbie tej znajduje się przedstawiciel mniejszości polskiej p. Tytus Czekarski z Bukowiny, który wszedł do senatu z grupy rolników.

P. Czekarski jest prezesem polskiej rady narodowej w Rumunii i zasłużonym działaczem. Przy sposobności należy zaznaczyć, że p. Czekarski jest pierwszym od lat 20-tu przedstawicielem mniejszości polskiej w parlamencie rumuńskim. Po zjednoczeniu wielkiej Rumunii w roku 1919 mniejszość polska miała w parlamencie rumuńskim swego przedstawiciela w osobie dr Kwiatkowskiego.

Zakazano transmisyj nabożeństw chrześcijańskich w Niemczech. Zgodnie do zarządzenia min. propagandy Rzeszy, zostały bezwzględnie zakazane transmisje przez stacje radiowe nabożeństw katolickich i protestanckich. Dotychczas transmisje nabożeństw były nadawane przez niektóre prowincjonalne stacje nadawcze, gdyż główne stacje radiowe od dawna już zaprzestały umieszczania w programach swych audycyj nabożeństw wyznań chrześcijańskich. Zamiast nabożeństw wprowadzono wykłady programowe wychowania narodowo-socjalistycznego w myśl zasad Rosenberga.

Kość słoniowa ma różne barwy. Kość słoniowa nie bywa jednego koloru. Posiada różną barwę. Najcenniejsze gatunki przywożone są z Ceylonu i są zabarwienia lekko różowego. Czysto białego koloru jest kość słoniowa z Indyj. Ze Syjamu jest koloru zielonkawego.

Kanapki są potrawą narodową Duńczyków. Smorrebrod, po polsku kanapka, jest potrawą narodową Duńczyków. Robotnik w fabryce, urzędnik w biurze, milioner w luksusowym pałacu wszyscy o godz. 2-ej jedzą swoje smorrebrody. Kelner w restauracji przedstawia gościom menu kanapkowe długości łokcia.

„Królem" smorrebrodów jest w Kopenhadze człowiek nazwiskiem Svendsson, który kombinuje najróżniejsze barwy i smaki na kawałkach chleba w sposób wysoce artystyczny. Każda kanapka — to harmonia barw. Twory swego kunsztu Svendsson opatruje specjalnymi

nazwami, jak np.: „Wschód słońca", „Perła Arabii", „Rajska Rozkosz" itp.

„Kompozytor" ów kieruje ogromną wytwórnią smorrebrodów.

Będzie muzeum Romea i Julii. W Veronie, mieście rodzinnym najromantyczniejszej pary kochanków — Romea i Julii, powstać ma muzeum ich imienia. W muzeum mają być zgromadzone wszystkie pamiątki, przypominające tę sławną parę miłosną, jak pierwsze wydania tragedii Szekspira, kostiumy słynnych wykonawców obu bohaterów i inne.

Ludzie zdejmują okulary przy ukłonie. U niektórych narodów wschodnich panuje zwyczaj, obowiązujący każdego, kto nosi okulary, do zdejmowania ich z oczu na znak szacunku przy składaniu ukłonu przechodzącej osobie.

Polak brał udział w budowie kanału Sueskiego. Wybitny udział w budowie kanału Sueskiego brał przyjaciel Lessepsa, twórcy tegoż kanału, inżynier Stanisław Janicki (1836—1888).

DOBRA gospodyni

Sezon truskawkowy

Z truskawek można wiele przetworów przygotować na zimę. Kilka takich przepisów podajemy:

Konserwa z truskawek: Przebrać truskawki, ostrożnie nałożyć w słoiki, zwane kompotierami, osobno zagotować gęsty syrop i po ostudzeniu zalać truskawki w słoikach, obwiązać je i wstawić do kociołka z zimną wodą (wody mniej więcej na wysokość ¾ słoika), w którym na dnie ułożone winno być siano. Gotować przez piętnaście minut od chwili zagotowania się wody.

Trwalszym sposobem, który konserwuje truskawki, jest sposób zagotowania przebranych truskawek wrzucając je na wrzący syrop, zagotować, odstawić wraz z naczyniem, aby ostygły. Następnie wkłada się do słoików i zagotowuje w kociołku, na dnie wyłożonym sianem. Po zupełnym ostudzeniu wyjąć i trzymać w suchym miejscu.

Konfitury z truskawek. Przebrać truskawki, odrzucając ogonki, a dla oczyszczenia z piasku dobrze jest każdą truskawkę umaczać w rumie, lub czystym spirytusie. Truskawki przeznaczone do smażenia nie powinny być zbyt duże, lepiej do tego nadaje się owoc średni i okrągły.

Syrop na truskawki należy przygotować gęsty, biorąc na 1 kg truskawek 1¼ lub 1½ kg cukru. Na wrzący syrop rzuca się truskawki i zagotowuje na silnym ogniu. Potem odstawić i zeszumować. Czynność tę należy powtarzać trzykrotnie. Szum należy ostrożnie zbierać łyżką, aby truskawki się nie pogniotły. Następnie dosmaża się truskawki na wolnym ogniu, potrząsając rondlem, żeby się równo smażyły. Gdy syrop zgęstnieje, odstawić, po chwili zlać na jakieś szklane naczynie dla ostudzenia, a na drugi dzień złożyć do słoików, szczelnie obwiązując.

Dżemy truskawkowe. Dżemy mają tę zaletę, że mniej wymagają cukru. Najkorzystniej jest zmieszać owoce słodkie z kwaśnymi i wybór owoców na dżemy może być drugiego gatunku. Przygotowując dżem z truskawek, przyrządzamy syrop, dodając bardzo mało wody, gdyż truskawki mają dużo soku. Jeżeli chcemy zrobić dżem z porzeczek i truskawek, smażymy naprzód truskawki. Na gęsty syrop rzucamy 1 kg truskawek i smażymy je przez 20 minut na wolnym ogniu. Następnie odstawić, włożyć do kamiennego rondla lub słoja. Gdy dojrzeją porzeczki wziąć 1 kg porzeczek, zmiażdżyć surowe na misce po czym razem z truskawkami smażyć aż zaczną krzepnąć. Gdy dżem zaczyna krzepnąć, ostrożnie go wymieszać, żeby owoce były równomiernie wymieszane i gorący wkładać do ogrzanych słoików. Po wystudzeniu, słoje starannie uszczelnić.

Jak zabezpieczyć przetwory owocowe przed zepsuciem? Najbardziej znane i lubiane przetwory owocowe — to kompoty, dżemy, konfitury i soki, a najzdrowsze z nich, bo posiadające najwięcej cech owoców surowych, są niegotowane soki owocowe i kompoty. Obecnie wkraczamy w pełnię sezonu owoców, wobec czego trzeba to wykorzystać i dążyć do stworzenia jak największego zapasu przetworów owocowych na zimę, a głównie kompotów.

Panie, posiadające słoje i aparaty Wecka, nie odczują, poza wydatkiem na owoc i cukier, większego kłopotu. Gorzej jest w gospodarstwach, niedysponujących tymi przedmiotami. Jednak i tam sytuacja nie jest groźna, bo wprawdzie z większym nakładem pracy, ale bez wydatku na aparaty Wecka, można również przygotować kompoty, stosując masę parafinową, zwaną pechem.

Przyrządzając kompoty pod pechem, należy ugotować zwykły kompot, jak na deser, i gorący włożyć do kompotiery, t. zn. słoja ze zwężoną szyjką, u góry rozchyloną. Kompoty pod pechem przyrządza się przeważnie na ulepie (syropie z cukru i wody), można też sosczyste owoce przesypywać cukrem i po kilku godzinach, gdy puszczą sok, gotować je i gorące wkładać do słojów. Przy gotowaniu kompotów, przeznaczonych do przechowywania w słojach, trzeba uważać, aby owoce nie popękały i nie rozgotowały się.

Po nałożeniu gorącego kompotu do wygrzanych słojów do wysokości około 1½—2 cm od brzegu słoja, trzeba dokładnie zebrać z wierzchu piankę, brzegi słoja wytrzeć najpierw ścierką, umoczoną w gorącej wodzie i dobrze wyżętą, a następnie suchą. Lepiej jest wytrzeć brzegi słoja szmatką maczaną w spirytusie. Gdy kompot jest jeszcze ciepły, zalać go pechem.

Pech należy stopić w rondelku z dzióbkiem — i zaczynając od brzegu słoja ku środkowi — zalać powierzchnię kompotu cienką warstwą; gdy pech cokolwiek przestygnie, wytrzeć brzegi powtórnie i zalać pechem drugi raz do pełna. Pech powinien być zupełnie płynny, bowiem za mało stopiony źle uszczelnia, zaś za długo trzymany na ogniu, rozkłada się i kruszeje, a po zalaniu pęka. Należy więc unikać częstego stapiania pechu, a brać go tyle, ile potrzeba na jednorazowy użytek. Do pechu już używanego, kruchego, można dodać trochę parafiny i używać go znowu.

EUGENIUSZ SEW.

Wędrowcy zaświatów

— Synu goniłeś szybszą od myśli gazelę? Chciałeś wyprzedzić bogów? Czy nie wierzysz w byt wieczysty wszelkich istot? Chcesz bez wiary osiągnąć nieśmiertelność własną? Krótkowzroczny

— Morze jeno zna głębię morza, a przestrzeń wymiar przestrzeni i Bóg wieczny znać tylko może Boga Jeśli czynisz dobro — wracasz do tego, co czyniłeś zawsze i zaiste Wirajd zstąpił na ziemię po to, by dać świadectwo nieskończoności wiecznej askahy[1]).

— Maja[2]) jest tylko mianem złych, a przez zło — niewiernych. Jeśli Waruna[3]) jest macierzą wszelkich istot żyjących, Warszney nie zabił gazeli i ty jej nie zabiłeś, jeno dałeś jej początek nowego życia, przez zło. Dziś minął jeden dzień Brahmy[4]) i gazela, co karmiła Ramę mlekiem — dziś okrywa setki bikszów i sramanów[5]) swoją skórą. Sam atoli stanąłeś przed obliczem Yamy[6]) i dusza twoja będzie twoim świadkiem, ta sama dusza, która przyniosła tobie narodzenie. Zawiniłeś na przestrzeni wieków i musiałeś podjąć wędrówkę, gdyż nie byłeś na tyle silny, by połączyć się z Kryszną[7]). To zło, którym dotknąłeś niewinną gazelę ścigało ciebie, jak cień, co kroczy w ślad ciała twego i wróciłeś dziś na polanę po to, by spełnić przeznaczenie Wisznu, dalej — aż zupełnie pozbędziesz się zła i ziemia nie będzie więcej widziała, jak dusza twoja wraca i okrywa się prochem...

Starzec urwał.

Chór riszich uroczyście podjął nowy śpiew.

— Waruna władca wielkich wód, wysłannik jego Khagas[8]) — zdobędziesz uciech pełno — w bród, u córy Naiszada[9]). Uragi[10]) przerwą pasmo twoich dni — nim zjawi się potomek, amrita[11]) nie pomoże ci, gdyż zowią ciebie Sury[12]).

— Waruna władca ciemnych wód — podąża do cię Khaga — idź! — prosto młodzieńcze już, do córki Naiszada...

Pieśń milkła miarowo. Świetlane postacie rozpływały się, jak mgliste widziadła. Polanę wypełniał poszum wierzchołków aswinów, gdzieś w dali szemrał strumyk, w powietrzu unosiła się potężna gama śpiewu ptaków, podtrzymywana akordami ruchliwych owadów. William szeroko otwartymi oczami wodził błędnie dokoła siebie i w żaden sposób nie mógł zebrać swych myśli do kupy.

Z odrętwienia obudził go głos maharadży:

— Winszuję panu przyjemnego snu poruczniku! Szukamy pana po całej okolicy — wieczór zbliża się a — pan — drzemkę urządza w świętym gaju.

— Podziwiam pańską odwagę. W te strony nawet niewtajemniczeni tubylcy trafić nie mogą, a pan? Jakżesz się to stało? O! widzę zakłopotanie. Czy naprawdę pan przejęty? Legenda głosi, że kto stąpi na tę polankę — doznaje nadzwyczajnych wrażeń. Ponoć może dowiedzieć się o czekającym go losie.

— Ja nie spałem — odpowiadał zmieszany Reynolds. Podnosząc się z ziemi — szukał sztucera.

— Niech się pan nie trudzi — odezwał się książę. Moi ludzie znaleźli broń w krzakach, zaopiekowali się także pańskim rumakiem. Chodźmy przyjacielu! Musimy się śpieszyć, gdyż nie zdążymy na svayamvarę.

Drogę do pałacu odbyto w milczeniu. Na dziedzińcu pułkownik uczynił Williamowi nieznaczną wymówkę, a koledzy nie szczędzili docinków, zapytując o zdobycz. Wprawdzie Wiclif widział porucznika, jak pędził zwierzynę — ale widocznie gazela runęła w przepaść, co spowodowało rozpacz Williama. Udał się przeto na polankę i tam urządził sobie drzemkę...

Pałacowe komnaty, przystrojone odświętnie kąpały się w potokach olśniewających blasków, potęgowanych iskrzeniem drogocennych kamieni, którymi ozdobiono freski na pułapie i kolumnach. Wschodni przepych tchnął z każdego zakątka dumnego przedstawiciela rodu Ikszwaku.

Kwiat rycerstwa prawie z całych Indyj zebrał się na zwoliny — olśniewał turbanami, kontrastem odbijał od galowych mundurów oficerów armii kolonialnej.

Za suto zastawionymi stołami oczekiwano w skupieniu na pojawienie się Dayamundi. Zagrały fanfary. Z niewieścich komnat wyszła na salę ziemska Rohinia[13]) kłaniając się w pas ojcu, a następnie zebranym gościom.

Przed sobą widziała morze oczu, śledzących w milczeniu i naprężeniu każdy jej ruch, każde najlżejsze drgnięcie gibkich bioder. — Sztywna, wyniosła skierowała swe kroki wprost do Williama. Stając blisko porucznika, położyła swe łabędzie białe ręce na jego ramieniu i rzekła cichutko:

— Parwacie[14]) mój! mego Narady![15]) O tobie śniła moja dusza wcześniej, niż po raz wtóry spotkała na szlaku Ganesa[16]) — a zwracając się do zebranych donośnym głosem dodała:

— Panajsloku[17]) mój! i panie mój...

Reynolds z wrażenia i zdziwienia osłupiał, nie orientując się w sytuacji i nie zdając sobie sprawy ze znaczenia słów księżniczki.

Na sali zakotłowało. Lekki szmer przeistaczał się w głuchy pomruk — ten znowu potężniał w gwar, aż cała kaskada gromkich okrzyków — Niech żyją!!! napełniła salę — najodleglejsze ustronia pałacowe.

W dziedzińcu dano trzydzieści salw armatnich — dla podniesienia i upamiętnienia chwili, oddając zarazem hołd Trydasa-isvarahom[18]), jak nakazują odwieczne Angi[19]).

— Narado mój! szepnęła Dayamundi, prowadź mnie do ojca.

— William zmieszał się jeszcze więcej, a już zupełnie zakręciło się mu w głowie, gdy pułkownik objaśnił, co właściwie stało się. Zbladł — chwiejąc się — niepewnym krokiem — zbliżył się wraz z Dayamundi do maharadży.

— Witam pana, jako swego zięcia — rzekł krótko książę — kto mógłby się tego spodziewać? Zamyślił się — a po chwili dodał:

— Wrota Nandany czystych dusz i próg Nirwany pośród głusz...

— Ojcze! wtrącając się do rozmowy rzekła gibkobiodra Dayamundi:

— Najmilsza tobie spośród dziew — Nari Aswinom podobna, powije zda się córy dwie i ani jednego syna...

Młodą parę posadzono na honorowym miejscu. Zgodnie z ceremoniałem tradycji zjawił się najstarszy sanyas[20]) i gałązką vibhikaty[21]) — potrząsał nad głowami młodożeńców, powtarzając sakramentalne:

— Vasavah! Vasavah[22]) sypiąc rzęsiście cytatami z Wed.

Reynolds uzyskał zwolnienie z pułku. W rodzinie maharadży przybrał imię Swama[23]) oddając się beztrosko cały potężnej miłości do niezrównanej Dayamundi, którą pokochał całym sercem, całą swą istotą młodzieńczej i czystej duszy. Dawno zapomniał o pułkowych kolegach i wzdrygał się na wspomnienie o ich natarczywym nagabywaniu go o powód nagłej zmiany, jaka zaszła w jego życiu.

W duchu tłómaczył tę okoliczność zupełną niewiedzą. Myślał prostodusznie. Do Indyj czuł podświadomy pociąg, wyczuwał, że zostanie w nich i nie powróci nigdy do Anglii. Od chwili dziwnej wróżby w Aleksandrii nie zaznał spokoju, aż u boku Dayamundi. Wierzył obecnie niezachwianie, że zasłużył na to, co się stało i wobec wszystkich głosił jawnie, że tak się stać musiało, gdyż było to jego przeznaczeniem.

Jak w bajce toczyły się dnie za dniami, pełne uciech i wesela. William oddawał się cały lekturze Upangów[24]) — wprowadzany w tajniki sanskrytu przez żonę. Poczciwy Saraswata uważał za punkt honoru rozprawiać z zięciem na przyjęciach na tematy wedyckie, by wykazać niezadowolonym z wyboru książętom — aryjską przeszłość Swama.

Po roku obchodzono hucznie uroczyste narodziny bliźniaczek. Księżniczki otrzymały imiona Bhaimii[25]) (pradziada) i Swami (ojca) jak nakazywał rytuał w rodzie Ikszwaku. Małżonkowie nie posiadali się z radości — bawiąc maleństwa, oddani sobie i swoim najbliższym — zapominali o całym bożym świecie.

Czasami tylko, gdy skrzydlaty Khaga łopotał nad wierzchołkami asok [26]) — Dayamundi smutniała. Tuląc głowę do piersi swego Swama, mówiła trwożnie:

— Żyliśmy już raz, wiesz wtedy, gdy ociekającego ciebie krwią — przyniesiono z lasu do naszego domu. Doglądałam ciebie — troszczyłam się o twoje zdrowie, a później wbrew rodzicom — wybrałam na męża. Svayamvara — powtórzyła się. Slahorta[27]) mówił też same słowa do ciebie, co przed wiekami. Obawiam się, że szczęściu naszemu zagraża cień niedokończonej ofiary. Będę musiała odbyć pokutę — wdziewając walkalę — zdobywać sama swoje wyzwolenie, by połączyć się z Tobą Narado — w naszej Nirwanie...

William obejmował wtedy czule żonę i pocałunkami przerywał smętne wynurzenia. Dayamundi weselała, ale w dalszym ciągu nie mogła odpędzić od siebie przeczucia.

— Wiesz — szeptała — sloki nie kłamią. Sam przekonałeś się o tym...

Pewnego razu kroczyli we dwoje krętymi ścieżynami pałacowego parku. Gdzieś daleko nad drzewami załopotał skrzydlami spłoszony ptak. Dayamundi drgnęła.

— Radujemy się najdroższy — rzekła, cieszymy się wonią asok i wen, jak małe dzieci czerpiemy pełnymi garściami szczęście Mahendry[28]) zda się jesteśmy najdoskonalsi w ucieczce pośród śmiertelników, a jednak przeczucie nie pozwala mi spokojnie patrzeć w przyszłość, spędza mi sen z oczu.

— Przewrażliwiona jesteś — uspakajał Swam boską Naiszaidę. Co może nam zagradzać obecnie drogę do szczęścia? Wiesz, że nie opuszczę ciebie, wiesz, że jeśli nawet stanę przed obliczem Yamy, to przecież nie sam — a z tobą razem. Czy mało tobie najmilsza mego serca — mej duszy?

— Wierzę — tak — odzywała się w zadumie Dayamundi — ale to przeczucie.

— Zostaw czasowi — perswadował William — następstwa rzecz przyszła — teraźniejszość jasna, podaj mi swe usta, niech spiję z nich słodycz, niech odżyję w rozkoszy tak, jak odżywa dzionek po każdej nocy.

Rzęsistymi pocałunkami uspokajali siebie wzajemnie — siedząc na ławeczce w cieniu wonnej asoki. Wysoko nad głowami uszczęśliwionych małżonków rozpostarły się rosochate ramiona wiekowego drzewa. Było ono siedzibą najróżnorodniejszego — drobniejszego gatunku ptactwa, za którym zwykle polują święte kobry. Gad — czepiając się ogonem gałęzi naśladuje do złudzenia swoją płaską szyją i małą główką, spróchniały sęk. Biada ptakowi — czy większemu owadowi, który nie ominie podstępnego sęka. Wąż momentalnie rzuca się i połyka ofiarę.

Gdy uszczęśliwieni, młodzi Amarowie pogrążeni byli w miłosnej ekstazie, z drzewa spełzła zdradliwa kobra. Przemykając chyżo po miękkim dywanie starannie utrzymanego trawnika — dopełzła murawą do ławeczki, opodal nogi Swama.

— Kobra! nieludzkim głosem wrzasnęła Dayamundi — spostrzegłszy czyhającą zgubną gadzinę.

W tej chwili gad wtapiał swe jadowite zęby w udo Williama.

Cieniutka struga czarnej krwi spływała na suchy piasek wąskiej alejki. Reynolds nie podnosił się z ławki. Ociężałe ramiona zwiesił na oparciu. Wpatrzony w lazurową toń — szeptał:

— Waruna władca ciemnych wód — wysłannik jego Khaga — zdobędziesz uciech pełno — w bród — u córy Naiszada. Uragi przerwą pasmo...

Zamilkł. Pobladłe lica skrzywił śmiertelny skurcz, nie dokończył sloki, którą przed rokiem zaledwie słyszał w świętym gaju. Jad kobry piorunem przepalał jego ciało. Bezwładna głowa opadła na piersi. Oczy tylko pozostały spokojne, rozwarte szeroko, pełne zadumy, majestatyczne, wpatrywały się w bezkresne szlaki Ganesa...

Dayamundi była niepocieszona w żalu. Nie dała rodowi potomka płci męskiej, dlatego nie miała prawa opiekować się rodziną. Vedy nakazywały pozostawienie córek na wychowaniu w domu ojca. Być może — one kiedyś, jak podrosną wybiorą następcę, który przedłuży pasmo rodu Ikszwaku, bo ona — ona — musi zostać bikszą[29]) i pokutować za winy niepopełnione...

Dayamundi posypała głowę popiołem, podarła szaty, a gdy minął okres żałoby — odziana w walkalę opuściła dom rodzinny, ruszyła w góry, by na samotności opłakiwać stratę ukochanego. Oczyścić się przez ból i cierpienie, by połączyć się ze swoim Swamem w Nirwanie — cieszyć, jak kwiatek polny — samotny — z przylotu pszczółki, by jego duszą zapylić swoją, by ród nie zginął — a trwał wiecznie, jak wiecznym jest Rama...[30])

—o—

Ktokolwiek przeczyta te sloki, wydobyte z nieznanych i niezbadanych dostatecznie dzieł wedyckich, niech poświęci chwilkę na zastanowienie się, wejrzy w siebie i zapyta swoją — duszę — słowami Wed:

— Czy jestem istotą nieznaną? Budząc się i zasypiając na przemian, czyż nie ożywiam się i nie uśmiercam się bezustannie? Wędrując na przestrzeni wieków i przechodząc wszystkie twory ruchome i nieruchome, istniejące w wszechświecie, czy nie dostrzegłem Wisznu — Twórcy i Siwy — Niszczyciela? Czy nie dojrzałem w mej wędrówce Brahmy — Praojca?

Suma wszelkich odchłani budzi się po to, by się doskonalić, zdobywać cel najwyższy — cel łączący każdego z istotą najwyższą, gdyż z Bogiem!

Czytelniku! Jeśli dusza Twoja, stanowiąca cząstkę Boga — odradza się, daje Tobie możność poznania samego siebie, Twego „ja" — które za szczyt swoich dążeń uważa Nirwanę — Niebo. Wychodząc z Nirwany — musi do Nirwany powrócić, gdyż taką jest wola Wszechpana!

Staraj się uzyskać doskonałość własną, by nie pozwalać Ziemi oglądać Twojej duszy, jak powraca po to tylko, by okrywać się na nowo prochem. Zjednocz się z istotą najwyższą — gdyż życie na ziemi jest karą, jaką musi odbyć Twoja dusza, dopóki nie czuje się dość czystą, by z Bogiem się zjednoczyć.

Jeśli w Twoim życiu stało się coś, lub stanie się takiego, co dziwnie wyda się Tobie znanym — wiedz jest to głos zaświatów — świadomości Twojej duszy, która za pokutę mierzy ścieżyny tu — na Ziemi, by przez miłość bliźniego — gdyż to właśnie jest warunkiem najistotniejszym osiągnięcia Nirwany — przypomnieć Tobie — byś jej nie męczył i podążał za Bogiem tak, jak podąża i kroczy za Tobą — Twój cień.

Niesposób w tych kilku wierszach ująć wszystkiego, o czym głoszą wielotysięczne sloki odwiecznych — świętych Wed — tak starych, jak starym jest świat i ludzkość z nim. Wymalowałem Tobie Czytelniku obraz, wzmiankując pobieżnie tylko o tym, co powszechnie głoszą w Indiach od wieków przeróżni sanyasi, bikszowie i riszowie. W ich ustach tkwi tajemnica i niezgłębiona moc nadludzka jogów[31]).

Zabawiłem Ciebie Czytelniku fabułą, w której przedstawiłem najistotniejsze cechy wedyzmu, jakże zbliżonego do naszej wiary, aczkolwiek dalekiego i zdawało by się obcego naszej duszy.

Czyż Chrystus mawiał innymi słowy?

Ceną największą dobrych uczynków jest miłość bliźniego, a przez miłość — miłosierdzie!

Uczynki jednak muszą wychodzić i z duszy i serca — nie mogą nosić cech obłudy — bo tak, jak na fałszywej monecie poznają się rychło — uczynek w gruncie rzeczy dobry, ale obliczony na korzyść — jest bezwartościowym. Nie pomoże naszej duszyczy osiągnąć Nirwanę — to Niebo i ten Raj — sprawiedliwych. O tym wszak mówią zaświaty...

Autor.

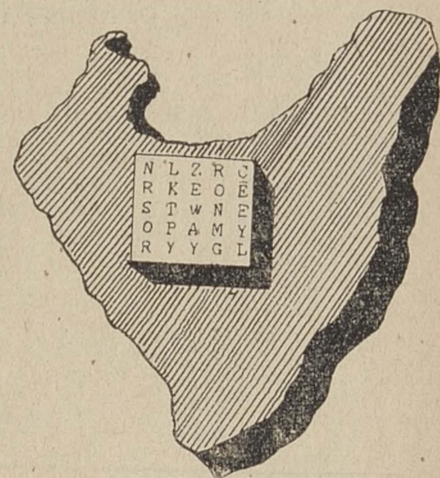
1) Sanskrycki pierwiastek, początek, życie.
2) Niewiedza.
3) Duch oceanu, woda.
4) dzień Brahmy — epoka, okres czasu, w którym dusza powraca na ziemię powtórnie (okres reinkarnacji (bezmiar astronomiczny).
5) Wędrownych żebraków i ascetów.
6) Sędziego umarłych, boga śmierci.
7) Najwyższa istota Bóg.
8) Czarny ptak.
9) Córki pana Niszad t. j. Sarasvaty.
10) Węże.
11) trunek, lek.
12) bogowie.
13) małżonka księżyca — gwiazda.
14) Posłańcy bogów
15) Nadziemskiego, godnego bogów — ideału
16) Syna boga Siwy czuwającego nad gościńcami
17) Męźu dobrej sławy
18) Trzydziestu bogom i władcom świata wedyckiego.
19) Rytuał księgi pomoc. do Wed
20) Żebrak
21) Zabobonne drzewo — Terminalia Bellerica
22) Potęgi, potęgi — obacz Waswy objaśń. 14
23) Tego, który powrócił
24) Łączna nazwa Angów i Wed
25) Wnuczka — prawnuczka Bhina
26) Drzew, dosłownie beztroskich
27) Święty riszi
28) Wielkiego Indry — a więc życie i użycie
29) Pokutnica — żebraczka
30) Wdowa nie może wychodzić za mąż — musi pokutować za winy męża, w pewnych okolicach Indyj, do dziś palą wdowy, czemu nie mogą zaradzić władze angielskie
31) Ascetów ścisłych, filozofów wschodu

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ul. F. Gałecki (Czł. War. Kl. Szar.)

Ruchem konika szachowego odczytać rozwiązanie.



SZARADA - FIGIELEK

ul. Eug. Borowski

Pewien muzyk szukał żony,
która by na imię miała cztery tony.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 14 lipca br.

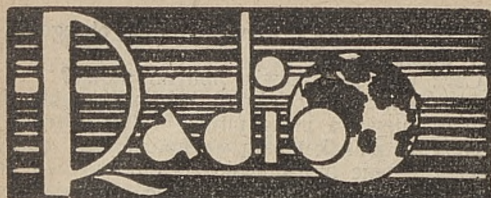
Rozwiązania zadań z nr. 26 „Moich Pow."

I. Konikówka: „Słowem honoru ten zwykle najwięcej szafuje, kto ma najmniej honoru".

II. Logogryf: „Bajkał".

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Kamińska Zofia — Toruń, Laskowski Ewaryst — Toruń, Piątkowski Zygmunt — Poznań, Kolarski — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Kamińskiej z Torunia i Kolarskiemu z Poznania.



Niedziela, dnia 9 lipca 1939 r.

7.00 Audycja poranna 9.45 Regionalna transmisja z Jarosławia: reportaż i nabożeństwo 12.03 Poranek muzyczny z Krakowa 13.15 Muzyka obiadowa z Wilna 14.45 Czytamy Mickiewicza — audycja IV — „Pan Tadeusz" 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Koncert solistów 17.15 „Z wędrówek po równiku" — reportaż z wystawy Polskiego Towarzystwa Wypraw Badawczych w Afryce Środkow. 17.25 „Wesoła godzina" — koncert rozrywkowy 19.00 Teatr Wyobraźni: „Klub Pickwicka" — wieczór X — „Niech żyje pan Pickwick dobroczyńca" 19.30 Antoni Dworzak: kwintet fortepianowy A-dur op. 81 — koncert z płyt 21.15 Muzyka taneczna w wykonaniu Orkiestry Rozgłośni Poznańskiej 21.50 „W kalejdoskopie fraszki" — wesoły kwadrans w wykonaniu zespołu Śląskiej Pozytywki 22.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 10 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Audycja dla kupców 12.03 Audycja południowa 14.45 Słuchowisko dla dzieci: „O puchar Paryża" 15.15 Franciszek Schubert: fragmenty z „Rozamundy" w wykonaniu Orkiestry Adama Hermana z Krakowa 16.20 Recital śpiewaczy Ludwika Sulikowskiego 17.00 Muzyka taneczna Recital fortepianowy Stanisława Szpinalskiego 18.30 Utwory Mozarta — koncert z Poznania 19.00 Audycja Junackich Hufców Pracy 19.30 Przy wieczerzy — koncert rozrywkowy (z Katowic) 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Cezar Cui — audycja muzyczno-słowna z Wilna 21.50 „Echa mocy i chwały" 22.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 11 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 „Dzieci mają głos" — audycja z Poznania 12.03 Audycja południowa 14.45 „Życie lasu" — pogadanka dla młodzieży 15.00 Muzyka popularna z Poznania 16.20 Od wioski do wioski — audycja muzyczna 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Utwory wiolonczelowe kompozytorów rosyjskich w wyk. D. Danczowskiego 18.30 Recital organowy Władysława Widomskiego (transmisja z Konserwatorium Warszawskiego) 19.00 Audycja dla robotników 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncert kameralny Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego (transmisja z Krzemieńca) 22.00 Z perspektywy ćwierćwiecza: „Rosja i Francja w początkach wielkiej wojny" — odczyt 22.15 Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej 22.45 Jacques Ibert: Escales — poemat symf. — koncert z płyt.

Środa, dnia 12 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Koncert poranny z Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego — transmisja z Krzemieńca 8.15 Pogadanka turystyczna 12.03 Audycja południowa 14.45 „Nasz koncert" — „Sto pociech" — audycja dla dzieci 15.15 Muzyka popularna z Katowic 16.10 Pogadanka aktualna 16.20 Dawna muzyka — koncert z Torunia 16.40 Co się dzieje w gniazdach: „Pisklęta" — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna z Cafe Paradis 18.00 Słynne symfonie — koncert z płyt 18.50 Hektor Berlioz: „Karnawał Rzymski" — koncert 19.00 „Woltyżerka Dropsy Mops" — Wesoła Syrena 19.30 Muzyka przy wieczerzy — koncert rozrywkowy 20.10 Odczyt wojskowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Juliana Karolyi 21.40 Książka i wiedza: „Pamiętniki emigrantów" 22.00 Włoscy śpiewacy i zespoły wokalne — koncert rozrywkowy z płyt.

Czwartek, dnia 13 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.20 Pogadanka sportowa 12.03 Audycja południowa 14.45 Płyniemy wielką rzeką: „La Plata" — audycja dla młodzieży 15.05 Muzyka popularna w wyk. Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej 16.20 Pieśni Henry Purcella — koncert 16.45 Budownictwo wsi polskiej: „Budowle dworskie" — odczyt 17.00 Muzyka taneczna 18.00 „Echa mocy i chwały" 18.10 Koncert kameralny (z Poznania) 19.00 „Francja w poezji polskiej" — kwadrans poetycki 19.15 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncert Chóru Amerykańskiego Uniw. w Yale 21.30 W Świętokrzyskiej puszczy jodłowej — audycja 22.00 Śpiewy i marsze żołnierza francuskiego — audycja słowno-muzyczna (z Krakowa) 23.15 Koncerz muzyki polskiej.

Piątek, dnia 14 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Kłopoty i rady: „Dla siebie i dla innych" 12.03 Audycja południowa 14.45 Rozmowa technika z młodzieżą 15.00 Muzyka popularna w wyk. Orkiestry Rozgł. Katowickiej 16.20 Piosenki w wyk. Toli Koriankówny 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Recital fortepianowy Colette Gaveau 18.35 Recital śpiewaczy Tatiany Nolier-Mazurkiewiczowej 19.00 „Marsylianka" — audycja literacko-muzyczna 19.40 „Przy wieczerzy" — koncert rozrywkowy 20.25 Audycja dla wsi 21.05 Transmisja z Francji. W przerwie „Medytacje" — „Myśli" Pascala.

Sobota, dnia 15 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Z mikrofonem przez Polskę: „W największym parku miejskim" (z Łodzi) 12.03 Audycja południowa 14.45 „U Dorotki w ogródku" — wesoła audycja dla dzieci 15.15 Muzyka popularna w wykonaniu Ork. Rozgł. Wileńskiej 16.20 Koncert w wyk. Ork. Mandolinistów „Kaskada" 16.50 Co się dzieje w gniazdach: „Kłopoty i troski rodzicielskie" — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna z Cafe Club 18.00 Polskie pieśni chóralne — koncert ze Lwowa 18.30 Kwartety Beethovena — koncert z płyt 19.00 „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz" — wesoła powieść radiowa. I rozdz. „Luzie z jednej ławki" 19.30 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 Melodie ziemi polskiej: Na Kujawach gra muzyka — audycja słowno-muzyczna 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Melodie filmowe i taneczne — koncert Małej Orkiestry 23.20 Muzyka taneczna z Cafe Paradis.



JESZCZE TEŚCIOWA

Na terenie ciała pewnego jegomościa spotykają się dwie pchły.

— Wiesz, warto by ukarać teściową naszego człowieka!

— Dlaczego?

— Ciągle psuje mu krew wymówkami, a potem my musimy pić taki niesmaczny napój!

Z WOLTEROWSKICH ZŁOŚLIWOSTEK

Pewien zarozumiały dworzanin zanudzał Voltaira swymi dowcipami. Znudzony filozof słuchał „kawałów" dworaka, nudząc się najwyraźniej. Wreszcie opowiadającemu wyczerpał się temat. „A teraz na pana kolej, panie Voltaire, niech pan powie jakiś naprawdę dowcipny kawał". Voltaire powiódł roztargnionym wzrokiem po ścianach pokoju. „Co widzę", zawołał dworak, mistrz dowcipu szuka natchnienia". „Nie panie, odparł Voltaire sucho, szukam tylko kogoś, kto by zrozumiał mój dowcip".

NIEROZŁĄCZENI

Wicek i Wacek są nierozłączonymi przyjaciółmi. Wszyscy o tym wiedzą. Toteż zdumienie ogarnęło znajomych, gdy przeczytali w gazecie, że w pewnej restauracji Wicek pobił się z Wackiem.

— Jakże to może być — westchnęła pewna dama — przecież oni nie rozłączali się nigdy.

— Właśnie, właśnie — potwierdził świadek zajścia — sześciu kelnerów nie mogło ich rozdzielić.

PROTOKÓŁ

Egzekutor podatkowy udał się do wieśniaka Krupki, który zalegał z podatkiem. Ponieważ podatnik był do niedawna wdowcem i świeżo się ożenił, otrzymując posag w żywym inwentarzu, protokół tak opiewał:

„W myśl danego mi polecenia przez urząd skarbowy w Mąciągłowach, zająłem u Wojc. Krupki dwie świnie z pierwszego małżeństwa, jako też dwie z drugiego".

„ACH TE KIBICE"

— Taki kibic to straszna plaga dla grających w karty!

— Ma pan rację. Nie można nawet kart pomieszać, żeby on sam się nie wmieszał!

ŻELAZNE ZDROWIE

— Nie wstydzisz się? Znowu jesteś pijany!

— Cóż mam robić, kiedy wciąż mam takie straszne pragnienie.

— To pij wodę!

— Wodę? Nie mogę... Mój lekarz mówi, że mam żelazne zdrowie. Mógłbym zatem wewnątrz zardzewieć!

TRUDNE DO SPEŁNIENIA ŻYCZENIE

W parku koło pomnika siedzi na ławce dziecko i drze się w niebogłosy. Jakiś przechodzeń, starszy pan, oburzony, że niańka spokojnie siedzi i nie zwraca uwagi na krzyk dziecka, powiada:

— Jak pani może pozwolić tak długo krzyczeć dziecku? Dlaczego pani mu nie da tego, czego ono chce?

— Kiedy proszę pana, to bardzo trudno: ono chce, żeby mu dać ten pomnik.

ARTYSTKI SIĘ NIGDY NIE STARZEJĄ

W dużym mieście była artystka dramatyczna, słynąca z wdzięku i żywości temperamentu.

— Ojcze! — zawołał pewien młodzieniec z zapałem — to anioł! Kocham ją! Nie mów ani słowa, nie pozwolę, byś coś przeciwko niej mówił!

— Ależ, mój synu, dlaczego miałbym coś złego o niej mówić? Przecież i ja, jak byłem w twoim wieku, kochałem się w niej na zabój.



— Ależ panie Janku, uważam, że ta chwila jest najmniej stosowna do oświadczyń.

PRZEDPŁATA: już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedynczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedzialny: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.